MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK VI. Nr 8 WARSZAWA, 20 LUTEGO 1926 R. CENA NUMERU 80 gr.

KRYZYS USTROJU POLITYCZNEGO

POŚRÓD wielkiej rozbieżności dążeń i haseł politycznych, z pośród żalów i narzekań, wybija się jeden głos, wspólny ludziom o najrozmaitszych nawet przekonaniach: wszyscy chcą silnej władzy, silnego rządu. Można nawet słyszeć takie zdanie: wszystko jedno, kto będzie rządził w Polsce, byle rządził naprawdę. Wystarczy pomówić z pierwszym lepszym „człowiekiem z ulicy“, wystarczy wdać się w rozmowę z chłopem z zapadłej wsi, każdy powie to samo. Trzeba liczyć się z faktem, że autorytet obecnych władz i dzisiejszych politycznych instytucyj stoi bardzo nizko. Nie budzą one entuzjazmu, ani nawet przywiązania. Władza nie ma u nas powagi, sprawujący ją nie zawsze cieszą się należytem poważaniem. A tymczasem jest bardzo silna tęsknota za władzą, która często jest tylko wyrazem tęsknoty za prawem i ładem.

Nastrój ten sięga tak głęboko, że nie można go wyjaśnić jedynie tylko błędami rządzących — źródła jego tkwią w samym ustroju prawno-politycznym. A zresztą tak jest nietylko u nas. W innych krajach te rzeczy są nawet bardziej widoczne, przynajmniej więcej się o nich mówi i pisze. Najpospolitszym dziś tematem politycznym na zachodzie jest problem kryzysu parlamentarnego. Setki tysiący ludzi, nawet miljony ich w różnych krajach, zaczynają wierzyć, że ratunek może przynieść jedynie dyktator, czy dyktatura; w każdym razie pragnienie gruntownej zmiany tego, co jest, upowszechnia się niemal z dniem każdym, o ile już ta zmiana nie zaszła, jak np. we Włoszech. Niewątpliwie mamy tu do czynienia z czemś więcej, niż kryzys parlamentaryzmu: jest to kryzys zasad, rzuconych w świat przez rewolucję francuską, kryzys idei praw człowieka i zasady bezwzględnej wolności. Cały nasz ustrój, za obcym przykładem, jest zbudowany na tym gruncie, że należy przedewszystkiem zagwarantować człowiekowi jaknajwiększą wolność, zabezpieczyć jego indywidualne prawa. A tymczasem cierpimy na nadmiar wolności, na swawolę, na brak stałości rządu i anarchję polityczną. Społeczeństwo, wbrew starym złudzeniom, nie pragnie najsilniej wolności: ono chce być dobrze rządzone. Odczuwa ono potrzebę hierarchji, ładu, planu i konsekwencji w polityce, stałości urządzeń społecznych i gospodarczych. „Rządy mogą istnieć tylko na podstawie autorytetu, bez autorytetu nie może być ani społeczeństwa, ani cywilizacji“. Słowa powyższe nie są cytatem z pism jakiegoś De Meistre'a lub innego „reakcjonisty“ z przed stu lat; wypowiedział je przed paru dniami J. Caillaux, głośny przedstawiciel lewicy francuskiej.

U nas jest tak, jak w innych krajach, nie gorzej i nie lepiej. Podobne są też przyczyny trawiącej nas choroby. Główną jest rzecz następująca: system parlamentarny oparty jest na zasadzie rządów większości parlamentarnej. Bez tego nie może prawidłowo funkcjonować. Tymczasem mamy u siebie system parlamentarny, z całym jego komfortem, ze wszystkiemi najbardziej postępowemi urządzeniami, ale nie możemy się zdobyć na trwałą większość rządzącą. Zmieniają się gabinety, najdłużej stosunkowo utrzymują się ci, którzy umieją omijać rafy trudnych zagadnień, odsuwać na potem to, co powinno być rozstrzygnięte. W chwilach niebezpieczeństwa zdobywamy się na zgodę, ale ta zgoda zwykle nie trwa długo. Dewizą rządów jest zasada, by jak najmniej się narażać, a jak najwięcej pozyskać sobie zwolenników, czasami dość rozmaitą drogą. W rezultacie rząd jest słaby, chwiejny, niepewny jutra. To uczucie niepewności udziela się całemu społeczeństwu, aż wreszcie nuży je i usposabia przychylnie dla projektów zmiany.

U nas jeszcze o tyle jest trudniej, że nie mamy trwałych instytucyj politycznych, nie mamy tradycji rządzenia, zorganizowanej już machiny biurokratycznej ani zasad prawnych w tym stopniu utrwalonych, jak one są na Zachodzie. To też ciągłe kryzysy rządowe nie spływają u nas po wierzchu, lecz żłobią sobie głębokie koryto, dezorganizując administrację. Przez jakiś czas można żyć nadzieją, że te stosunki same się ułożą, że przechodzimy zwyczajne choroby młodości. Jednak ta nadzieja obecnie jest coraz słabsza. Są u nas gorliwi zwolennicy demokracji parlamentarnej. Ci powinni zrozumieć, że jeżeli nie poprawi się podstaw tego systemu rządzenia, to na tej lub innej drodze dojdzie do jego katastrofy. A przynajmniej, jeżeli się nie doprowadzi do tego, by system wyborczy sprzyjał wytworzeniu się stałej większości, coraz trudniej i coraz gorzej będzie się rządziło w Polsce.

Fanatycy systemu parlamentarnego wykazują, że źródłem niezadowolenia jest wroga agitacja „reakcji", niechęć do państwa demokratycznego, różne faszystowskie „knowania". Ale czy oni mogą przekonać ogół, że to co jest, jest dobre, i że się wciąż poprawia? A pozatem najwięksi wrogowie parlamentaryzmu nie są tam, gdzie się ich zwykle szuka. Obok małej sprawności systemu, wyrósł jeszcze jeden wróg parlamentarnych rządów, bardzo potężny, którego nie było wówczas, gdy parlamenty dochodziły do rozkwitu. Rząd parlamentarny, według przyjętych zasad, powinien być jedynym wyobrazicielem władzy; przecież reprezentuje on większość ludu, jest wyrazem woli wyborców. W drugiej połowie XIX wieku zaczęły tymczasem wyrastać organizacje, które usiłują narzucić swą wolę parlamentowi: są niemi związki zawodowe, organizujące strajki, a wobec nich parlament jest często bezsilny.

W Anglji istnieje obecnie rząd, oparty na stałej większości — rzecz już dzisiaj nieznana pośród parlamentarnych demokracyj na europejskim kontynencie. Wszakże ten rząd w czasie zeszłorocznego strajku górników węglowych uległ ich presji, zgodził się, wbrew swoim zasadom, na dopłacanie do ceny węgla, byle załagodzić konflikt. Jak się wyrażono wtedy w Anglji, Cook, przywódca górników, zwyciężył premjera Baldwina. I my mamy u siebie stosunki angielskie, ale, jak to zwykle bywa, w karykaturze. Anglja przynajmniej jest krajem w wysokim stopniu robotniczym, związki zawodowe są w niej naprawdę potężne, jest komu uledz. U nas przed niedawnym czasem kilkadziesiąt telefonistek zajęło bezprawnie cudze przedsiębiorstwo — i to w dodatku przedsiębiorstwo użyteczności publicznej, — przeszkadzało jego uruchomieniu, a władze państwowe nie tylko nie umiały sobie dać z tem rady, ale wprost ochraniały bezprawie. Z chwilą, gdy władza przestaje przestrzegać prawa, przestaje być władzą, staje się dekoracją, symbolem. Otóż związki zawodowe, czasami nawet bardzo drobne, mają tendencje do tego, by wymuszać siłą swoje roszczenia; grożą wstrzymaniem całego życia gospodarczego, gdy nie zaspokoi się ich żądań nie zawsze słusznych. Gdy rząd nie chce uciekać się do siły, by przeprowadzić prawo i zabezpieczyć ład w państwie, kopie grób temu systemowi rządów, którego jest wyrazem. Gdy obywatele widzą, że półanalfabeta, który gotów jest uciec się do strajku, dzięki terrorowi uzyskuje od rządu lub innych władz publicznych lepsze uposażenie, aniżeli człowiek z fachowem, wyższem wykształceniem, który ma w stosunku do ludności reprezentować państwo, wówczas zanika wiara w sprawiedliwość tego całego systemu. Traci on swoją siłę moralną, traci autorytet. I niechaj ci wszyscy, którzy gorąco życzą sobie utrzymania rządów parlamentarnych, przedewszystkiem przypatrzą się niebezpieczeństwu, które wyrasta ze strony związków zawodowych. Ale u nas jest wszystko możliwe: ci sami ludzie, którzy występują gorąco w obronie parlamentaryzmu, uprawiają demagogję w ruchu zawodowym, chociaż związki zawodowe najmocniej godzą w powagę parlamentów i rządów na nich opartych.

Istnieje inna jeszcze przyczyna, osłabiająca powagę i siłę rządu. Gdy niema większości rządowej, gdy niema rządów parlamentarnych, przy słabości każdego rządu mamy ogromny wpływ poszczególnych stronnictw parlamentarnych, a także poszczególnych jednostek na administrację, mamy rozpowszechnienie się protekcjonizmu i zwyczajnej swawoli poselskiej. Wielkie masy wyborców nie zastanawiają się nad kryzysem parlamentaryzmu, nie wgłębiają się zbytnio w zagadnienia ustrojowe, ale dają niedwuznaczny wyraz swojej niechęci do Sejmu, bardzo często do wielu jego przedstawicieli. Rzeczy te są bardzo niebezpieczne. Gdy ani rząd, ani urzędy, ani Sejm i Senat nie mają powagi — to kto ją naprawdę mieć może? O ile chodzi o Sejm, to upadek jego autorytetu nietylko ma ogólne przyczyny, lecz także dołączyło się do tego fałszywe stanowisko posła i złe pojmowanie powołania poselskiego. W żadnym kraju nie nadużywa się do tego stopnia, co u nas, nietykalności poselskiej. Służy ona za pokrywkę wyraźnej agitacji przeciwpaństwowej i zabezpiecza bezkarność. Posłowie załatwiają bardzo wiele rzeczy, których nie powinni załatwiać, zajmują się rzeczami, które do nich nie należą. Nie wolno jest uogólniać poszczególnych wydarzeń, ale gdy wszyscy czytają w pismach, że jeden poseł zarzuca drugiemu najpospolitsze przestępstwa, od defraudacji do uwodzenia dziewcząt, to przez to słabnie ogromnie już i tak nadwątlona powaga Sejmu.

Gdy na parę lat przed wojną toczyła się w Anglji walka o Izbę Lordów, wówczas jeden z jej przeciwników, Lord Morley, wyraził się w ten sposób: Izba Lordów albo musi być zmieniona, albo trzeba z nią skończyć (*must be mended or ended*). Czy chcemy tego, czy nie chcemy, ten dylemat staje dzisiaj wyraźnie już i przed Izbami, które są najczystszym wyrazem „woli ludu".

R. RYBARSKI

PLASTYKA SCENY

TEATRALNE opracowanie każdego utworu dramaturgji rozpada się na dwa główne działy; aktorski i malarski. Ponieważ oba muszą być ze sobą uzgodnione, a rzadko zdarza się reżyser z talentem malarskim, więc twórcza inscenizacja utworu powinna spoczywać porówno w rękach reżysera i dekoratora.

Współpraca obu ma być ścisła — to znaczy, że nietylko dekoracje, kostjumy i rekwizyty mają być dziełem dekoratora, lub zyskać jego zgodę, ale tak samo charakteryzacje i plastyczny w każdej scenie układ aktorów (co stale w naszych teatrach się zaniedbuje).

Podstawowym pewnikiem dekoratora powinna być maksyma: scena jest obrazem malarskim. Z aksjomatu tego same przez się wynikają wszystkie dalsze obowiązujące teatr nakazy plastyczne. Naszkicujmy tu przynajmniej główne wytyczne pracy dekoratorskiej.

1. Ramy. Jak każdy obraz, tak i scena musi mieć ramy. Malarz dobrze wie, jaką wagę mają ramy dla dzieła, ich szerokość, głębokość, barwa i zdobiny. To samo należy stosować do sceny. Scena bez ram pozbawiona jest odgraniczenia, zamknięcia i dostojności, tak każdemu dziełu sztuki niezbędnych. Każdy utwór dramatyczny, a czasem każdy akt pewinien mieć swoje, dla siebie obmyślone ramy. Wiadomo, że na tę sprawę teatry nasze najmniejszej nie zwracają uwagi. Ramy, (dobrze, gdy są!), są jedne raz na zawsze—i basta!

Oprócz ram fizycznych scena powinna mieć ramy aktorskie. To znaczy, że dekorator nie powinien pozwalać na wchodzenie i wychodzenie aktorów poprzez widownię. Scena powinna mieć szersze od siebie proscenium z dwojgiem po obu stronach drzwi bocznych dla utworów wyjątkowo tego wymagających. O ile architekt nie dał scenie proscenium, można w razie potrzeby zrobić je na scenie. Ale nigdy nie należy z widowni czynić dalszego ciągu sceny. Nałóg ten prześladował przez pewien czas snobizmem ogarnięte teatry warszawskie (Redutę i Polski).

2. Poziom. Scena nie powinna być ani zawysoko umieszczona, ani zanisko w stosunku do parteru widowni. Jest to sprawa i troska architekta. W Warszawie jeden tylko Teatr Polski ma poziom sceny idealnie wymierzony. Dekorator jest, naturalnie, bezsilny wobec błędu architekta, ale może nalegać, by scenę przebudowano, lub zmieniono spadek podłogi parteru.

Odpowiedni poziom sceny jest wymogiem czysto malarskim i wprost z naszego naczelnego aksjomatu się wywodzi. Nie zawieszamy obrazu, ani pod pułapem, ani tuż nad podłogą. Miejsce obrazu na ścianie pod względem wysokości zależy od wielkości obrazu. To samo obowiązuje scenę. Dekorator może czasem podwyższyć poziom sceny przez ułożenie na niej pomostu. Ale obniżać go nie może, więc scena o zbyt wysokim poziomie staje się poważną dla dekoratora przeszkodą.

Poziom sceny równy z podłogą widowni, przywieziony przez Redutę z Moskwy, jest takim samym nonsensem, jakim byłaby scena umieszczona tuż pod sufitem. Pomysł ten niszczy oba warunki sceny — poziomu i ram.

3. Odległość. Obrazek wielkości dziesięciu cm. kwadratowych oglądamy z odległości pół, lub jednego kroku, ale dla obejrzenia obrazu dwumetrowego cofamy się o pięć i więcej kroków. Im większy obraz, tem większa musi być jego odległość od widza. Obowiązuje tu zasada, że pole widzenia powinno obejmować obraz. Scena ma od 5 do 8 metrów szerokości. Wynika z tego, że dopiero w piątym rzędzie współczesnych parterów widowni zaczyna się odległość, z której należy patrzyć na scenę. Z tej (jeśli nie dalej) odległości dekorator scen komponuje.

Zważywszy tę konieczność malarską, ocenimy intuicję Greków starożytnych, którzy scenę od widowni oddzielali przestrzenią na chór i ołtarz. Nasze widownie zaczynają się o krok lub dwa od sceny. Słusznie za takie barbarzyństwo pierwsze rzędy krzeseł płacą karę podwójną w postaci najwyższych cen i miejsc najgorszych. Nie mam potrzeby dowodzić, że loże tuż przy scenie i z boku są idjotyzmem teatrów współczesnych. Najgłupsze miejsca w teatrach mają dziś królowie i prezydenci republik.

Wszystko to może nie obchodzić dekoratora, bo jego publiczność zaczyna się dopiero w piątym rzędzie parteru. Jednakże o ile ma on zmysł społeczny i o ile czuje się odpowiedzialnym za artystyczną całość teatru, powinien nalegać na władze teatralne, aby rozumnie urządzały widownię, a na architektów, żeby, budując teatr, liczyli się i z tym zasadniczym wymaganiem sztuki dekoratorskiej.

4. Rozmiar. Stosunek szerokości do wysokości sceny, czyli jej rozmiar łatwo daje się zmieniać, a dla dekoratora stanowi pierwsze pytanie w jego kompozycji. Charakter utworu dramatycznego czasem zgóry określa, jaki powinien być rozmiar sceny dla całego utworu, lub jego aktów poszczególnych. Ale najczęściej zależy to od woli i talentu dekoratora (i zgody reżysera). Chodzi głównie o to, żeby dekorator nie dawał szablonu dla wszystkich utworów jednego, lecz żeby komponował rozmiar według indywidualnych za każdym razem przesłanek artystycznych.

Zasada ogólna tkwi w mniej lub więcej portretowem ujęciu osób scenicznych, zatem już do pewnego stopnia założona jest w samym utworze dramatycznym. Tak, naprzykład, scena dla „Ślubów Jana Kazimierza“ Wyspiańskiego musi być komponowana na znaczną wysokość (w stosunku do szerokości), ponieważ tu autor na pierwszy plan wysunął nie osoby poszczególne, ale tłum i ogrom świątyni, witrażów, chorągwi, muzyki organnej, całej, słowem, dekoracyjności podniosłego aktu zbiorowego. Natomiast scena, naprzykład, dla „Świętoszka“ Moljera musi być komponowana na znaczną niskość (w stosunku do szerokości), ponieważ autor daje tu mocno rysowane portrety, których nie wolno w teatrze gasić wielkością dekoracji.

Kto dobrze wmyśli się w tę zasadę, a przejrzy pod tym kątem widzenia najlepsze kompozycje malarskie Grottgerów i Matejków (jako portretowe), oraz Chełmońskich i Brandtów (jako zbiorowe), ten się przekona, jak często dekoratorzy naszych teatrów lekceważą elementarne podstawy artyzmu.

5. Głąb. Scena, jako obraz malarski, z natury rzeczy dąży do płytkości swej, ponieważ sztuka malarska rozwija się na płaszczyźnie. Dopomaga jej w tem dążeniu instynkt aktorów, który ich na przód sceny popycha, a także zmysł reżysera, ten bowiem chętnie operuje na pierwszych dwóch planach sceny, a już na trzecim napotyka na znaczne trudności kompozycyjne.

Głębokość sceny pozostaje w pewnym związku z jej rozmiarem, oraz z charakterem utworu dramatycznego. Moljer, naprzyktad, powinien być grany na scenie najpłytszej, o jednym planie w rozmiarze niskim a szerokim. Znika wtedy wnętrze dekoratorskie, a pozostaje tylko ściana tylna z bardzo ograniczoną liczbą sprzętów koniecznych, Dekoracje krajobrazowe ze względów technicznych muszą być odsunięte nieco wtył. Wnętrza utworów naturalistycznych najczęściej wymaagją jeszcze głębszej sceny i t. d.

Zasadą rozstrzygającą powinno być przekonanie, że głębokość sceny jest złem koniecznem, że przeto trzeba dążyć zawsze do rozwiązań inscenizacji na pierwszych dwóch planach. Szczególnie w scenach krajobrazowych zasada ta usunie raz na zawsze ohydę dekoracyj parawanowych i wycinanych.

6. Mat. Fizycznym, ale i artystycznym warunkiem każdego obrazu jest naturalna matowość jego barw. Obraz świecący jest potwornością malarską. Sceny naszych teatrów prawie zawsze świecą, owszem — biją i rażą światłem oczy widowni. Patrzenie przez trzy kwadranse aktu na wielki obraz świecący stanowi jedną z najdowcipniejszych tortur wieku dwudziestego. Dekoratorów tak obłąkały żarówki tysiącwoltowe, że zapomnieli o zabójczym wpływie światła na kolor. Barwa świecąca przestaje być barwą. Z barw świecących nie można nigdy otrzymać harmonji barwnej i kolorytu. Cóż wobec tego pozostaje z obrazu? Kabaretowy wrzask świateł.

Mat kolorystyczny na scenie jest takim samym warunkiem dekoracji, jak głos niezachrypnięty w śpiewie. Dekorator do tego stopnia powiniem przestrzegać matu, żeby nie wpuszczać na scenę ani lamp, ani świec, lub pochodni, które światłem wręcz oczy widzom wykłuwają i czynią w kolorycie sceny dysonans. Rekwizytowe świece, lampy, pochodnie powinny być udane w kolorze, lecz nie świecące (z wyjątkiem lamp pod ciemnikami, bo właśnie te nie świecą, tylko oświecają). Scena nie świecić ma, lecz być oświetloną, jak obraz malarski. Wtedy dopiero spełni swe zadanie plastyczne.

7. Ton. Harmonja kolorystyczna, czyli ton (w gwarze malarskiej) — to pierwszy warunek artystyczny każdego obrazu barwnego. Dekorator, jako malarz, stara się o ton w dekoracji, ale najczęściej nie dba o sharmonizowanie z nią rekwizytów, kostjumów i charakteryzacji aktorskiej. Z tego powodu często zdarza się widzieć obok dobrej w tonie dekoracji czysto malarskiej niemożliwe zgrzyty kolorystyczne przypadkowych w barwie aktorów i sprzętów.

Ale i w samej dekoracji malarskiej ton artystyczny i wytrzymany należy do rzadkości. Największe spustoszenia czyni tu blask światła i naturalizm. Te saloniki mieszczańskie, z założenia utworów dramatycznych banalne i przykre, sprowadzają dekoratora do roli znudzonego rzemieślnika.

8. Układ. Widziałem raz w „Warszawiance“ Wyspiańskiego takie dwa surowe błędy reżyserskie. W tłumnej scenie, gdy wszyscy rzucają się w głąb sceny do okien, reżyser zgrupował aktorów przy jednem, lewem oknie, przez co lewa połowa dużego pokoju była zapchana aktorami, a prawa — pusta. Trwało to trzy do pięciu sekund, ale ten ciąg czasu wystarczy do utrwalenia w wyobraźni widza sceny plastycznie chybionej i brzydkiej.

Zaś w słynnej scenie żołnierza śmiertelnie ranionego układ aktorów był taki, że kilku z nich stało na pierwszym planie i zasłaniało wejście żołnierza na scenę, czyli chwilę tu rozstrzygającą. Przytem z powodu umieszczenia drzwi w głębi ściany bocznej wejście żołnierza zepchnięto na plan drugi: dwa nonsensy, któremi najpiękniejszą scenę utworu stuszowano.

Są to błędy układu plastycznego, a mogę podobnych przytoczyć dziesiątki z najlepszych teatrów warszawskich. Jestem pewien, że, gdyby na próbach obok reżysera stał na widowni dekorator, liczba błędów układu spadłaby wkrótce do małego ułamka, a pod rozkazami dobrego malarza znikłaby zupełnie.

Gorsza od błędów jest rutyna reżysersko-aktorska, która działa stale i zamazuje najlepsze możliwości plastyczne retuszerją nałogów aktorskich i sztuczek tapetowych, szablonowo stosowanych: do sceny miłosnej taki seledynek, a do sceny zazdrości taki fijolecik układu. Obecność malarza obok reżysera zmiotłaby te szablony.

Jeżeli akt zawiera dziesięć scen głównych, to może w nim być kilkanaście obrazów plastycznych, z których każdy wymaga twórczości kompozycyjnej czysto malarskiej, nie licząc dynamiki zmian. Jakże wielkie otwiera się tu pole dla dekoratora! Jak wspaniała sposobność do odnalezienia stylu nietylko w plastyce sceny, w układzie, ale i w samej grze aktorów!

Z ośmiu naszkicowanych tu wytycznych pracy dekoratorskiej łatwo już wysnuć resztę wskazań drobniejszych i poszczególnych. A wszystkie mieszczą się w zasadzie naczelnej: scena jest obrazem malarskim. Z zasady tej wynika konieczność powołania artysty-malarza do sztabu reżyserskiego.

Jednakże nawet wręczenie malarzowi pełni plastycznych pełnomocnictw reżyserskich nie rozwiąże zagadnienia teatru i pozostanie pięknym gestem papierowym, jeśli go nie poprzedzi planowa idea repertuaru szczerze artystycznego, to znaczy — wielkiego.

Jeżeli teatry nasze mają zamiar nadal człapać po mokradle płycizn repertuarowych, po którem od lat siedmiu człapią, to wystarczy każdemu jeden bocian ze stadka oswojonych reżyserów warszawskich. Drugi już byłby czczym zbytkiem w scenicznym naszym żabistanie...

ST. PIEŃKOWSKI

LOS POETY NARODOWEGO

(SHAECKEROWANIE EDMUNDA WASILEWSKIEGO, CZYLI 85-ty TOM „BIBLIOTEKI NARODOWEJ“)

II

WSPÓŁCZESNY E. Wasilewskiemu historyk literatury K. Jarochowski w swej „Literaturze Poznańskiej w II połowie 19 wieku“ tak go charakteryzuje: „Co zaś dla nas pozostanie najdodatniejszą stroną poezyj Wasilewskiego, to że same znają także dodatnią tylko stronę ówczesnej poezji postępowej, że śpiewają w każdym wierszu, w każdem niemal słowie gorącą miłość ojczyzny wraz z pragnieniem czynu dla niej, nieznając ujemnej jej strony, nienawiści i zawiści społecznej. ...Nadaremno... szukalibyśmy w nich owego zbłąkanego postępu struny, którąby brzmiała fałszywym akordem waśni między rozmaitemi warstwami społeczeństwa narodowego.“ Charakteryzując zaś poetę Żyglińskiego dodaje Jarochowski że „cechuje go akcent miłości ojczyzny i polskiego ludu, podobnie jak we Wasilewskim bez owego pankracowo-herostrackiego zamachu, odzywającego się w innych zwolennikach tegoż samego skądinąd, co on, kierunku.“

Taki jest sąd Jarochowskiego i zresztą wszystkich historyków i krytyków literatury. Pan Haecker z Krakowa tymczasem przerabia Wasilewskiego właśnie na „pankracowo-herostrackiego“ Tyrteusza. Należąc do rasy łapczywie i niecierpliwie czyhającej na *Weltrevolution*, czyha p. Haecker i węszy w dorobku poetyckiem Wasilewskiego za zalążkami, za błyskami i przejawami rewolucyjnego

głodu i pożądania. Słowa: „rewolucja“ i „rewolucyjny“ pływają w wasserzupie krytycznej kamerada Haeckera, jak oczka tłuste na rosole.

„Tendencja polityczno patrjotyczna poezji Wasilewskiego była demokratyczno - rewolucyjna“. Tłumacząc zwyczajem dzienników robotniczych, co znaczy słowo „mina“, dowodzi maniacko: „mina, nabój wybuchowy—do rozsadzania używany, tu alegorja rewolucji.“ I ciągle o tej „energji rewolucyjnej“ i o „konspiracji rewolucyjnej,“ ciągle ta semicka czkawka za rewolucją. Zachłystując się obleśnie tem słowem „rewolucja“ zapomina jednak jarmarczny prestidigitator żonglować innem tu potrzebnem słowem t. j. słowem „Austrja“. A tymczasem „duch narodowo - rewolucyjny“ insurgencki, jaki mógł być w Wasilewskim, buntował go każdego dnia i w każdem wierszu właśnie przeciw Austrji. Dowodem tego świetny satyryczny wiersz „*Visum repertum.*“ Że jednak c. k. *kamerad* Haecker należał do tych politycznych landsknechtów, którzy marzyli o Polsce, jako folwarku Habsburgów z żydowską karczmą i mleczarnią, więc tę Wasilewskiego rewolucyjność względem i przeciw Austrji w cień przesuwając, suggeruje nam Wasilewskiego, jako rewolucjonistę społecznego, pankracowo-herostrackiego.

Na takie przemytnictwo polityczne pozwolił sobie p. Haecker, *advocatus* mobu mordującego ułanów ks. Józefa! *) I ażeby utwierdzić w czytelniku bezbronnym przewrotną suggestję, *kamerad* Haecker popełnia jeszcze dwa matactwa, posługując się do nich dwoma nazwiskami i w dzisiejszej Polsce aktualnemi.

Ponieważ za czasów Rzeczypospolitej Krakowskiej był krótko prezydentem Senatu Józef Haller, człowiek niedołężny, słaby i wpływom rezydentów trzech mocarstw ulegający, przeto krętacz z „Naprzodu“ korzysta z jednakowego brzmienia imion i nazwisk i trzechkrotnie wbija w głowę czytelnika: „uległe narzędzie Austrji“, „otoczony nienawiścią i pogardą ludności“ i t. p. I znów p. Haecker kłamie, bo przesadza. W rękopiśmie pamiętnika senatora J. Kopffa jest mowa tylko o dobroduszności, łatwowierności, miękkości i niezaradności Hallera. P. Haecker zaś, redaktor „uległego narzędzia Austrji“ w latach 1914—1918, z całym cynizmem przesadził z tą „pogardą ludności“, aby tylko dokuczyć w jakikolwiekbądź sposób „niebieskiemu generałowi“...

A obok przesady z Hallerem, widzimy drugą, ordynarniejszą, o rzekomym „wpływie Ehrenberga“ na... rozbudzenie patrjotyzmu u Wasilewskiego. Tu już oszustwo jest grubszej roboty. G. Ehrenberg, literat blizko spokrewniony z żydowsko-rosyjską rodziną Mohrenheimów (zausznik W. K. Konstantego) napisał między innemi osławiony dziś, bo przez warcholstwo demagogiczne na hymn rewolucyjny awansowany kuplet, zaczynający się od słów: „Gdy naród do boju wystąpił z orężem, panowie (Mohrenheimowie?) w stolicy palili cygara“. Ale oprócz tego *Hassgesangu* napisał też kilka innych piosenek, przepojonych nienawiścią do rdzennie polskich warstw historycznych, swoje *credo* ideowe streścił zaś w takim wierszu:

„Tak ironicznie życie przeszydzić
Wszystko obnażyć, wszystko zawstydzić
Być zemstą Boga na niebie
A gdy w podróży pełnej łez, błota *(sic)*
Zajrzy nam w oczy koniec żywota
Wyszydzić wreszcie i siebie“...

Wiersz ten, tanio parafrazujący modną manjerę bajronowską, nosił tytuł: „Ironja życia“. Czy można wyobrazić sobie większą przepaść, większy kontrast, niż ten między klimatem duszy ponurego, zionącego zapamiętałą nienawiścią do Polaków G. Ehrenberga, a omal dziecięco rozradowanym, garnącym się do świata i ludzi miłośnie, od czasu do czasu tylko czarną mantylą Bajrońską twarz sobie zasłaniającym Lechitą, rzetelnym Lechitą, nie metekiem, nie „wmieszkanym“ Wasilewskim?

To też E. Wasilewski na tę „Ironję życia“ Ehrenberga i na ten *Hassgesang* (dziś znów u bolszewików polskich modny) odpowiedział Ehrenbergowi ostrym, rekuzującym wierszem p. t. „Anti-ironja życia“, gdzie dosadnie napiętnował „kruka język nieczysty,“ co miesza „zgody hymn uroczysty“ i kilkakrotnie wypomniał Ehrenbergowi „serce zajęcze“ i „chłód rachuby.“ I z tego to wierszopisarza, miał czelność p. Haecker zrobić jakiegoś patrjotycznego mentora wobec lekkomyślnego i kochliwego Telemaka Wasilewskiego i przypisywać G. Ehrenbergowi przemianę Wasilewskiego z Gustawa na Konrada! I tę fikcyjną metamorfozę Wasilewskiego z trubadura wTyrteusza przypisuje kombinator Haecker takiemu wierszykowi G. Ehrenberga, w r. 1838 w poznańskim „T. Literackim“ drukowanemu:

I ja pisałem sonety
Takie czułe, że aż strach,
A w każdym wierszu niestety
A w końcówce każdej ach...
Wieszcz krajowi winien lutnię,
Więc dla ludu lutnia twa
Nie rozpacznie, nie tak smutnie
Krwawy takt niech bojom gra“.

Według p. Arystarcha Haeckera tej miary kleconka miała (jak to kilka razy powtarza) i mogła podziałać druzgocąco i przełomowo na E. Wasilewskiego, poetę, który już miał za sobą: „Na Wawel, na Wawel, krakowiaku żwawy“, „Patrz Marjacka wieża stoi dla miasta strażnica“... „W oktawę Bożego Ciała lat temu nie mało“, „Dziecko szału“ i inne drobne klejnociki liryki z ekstazy nad ojczystą ziemią, jej zabytkami, legendami, obyczajami wykrystalizowane. I pisze sobie podsądny Haecker całkiem *sans façon* coś podobnie łżywego: „Wszelako pod wpływem Ehrenberga egotyczny element przestaje stanowić wyłączną nutę w lirykach Wasilewskiego i ból istnienia występuje w nich jako zgodny akord cierpienia osobistego i społecznego“. Jak każdy autodydakta a symplista w rzeczach artystycznych p. Haecker identyfikuje wszelką analizę i egzegezę krytyczną wyłącznie z... wpływologią. I jak się takiemu dziwić, że ryzykując woltę z wpływem G. Ehrenberga na E. Wasilewskiego, Wyspiańskiemu znów imputuje poddanie się „wpływom“ Wasilewskiego na tej podstawie, że i w „Katedrze na Wawelu“ i w dwóch utworach Wyspiańskiego, t. j. w „Wyzwoleniu“ i w „Akropolis“ są słowa „cisza“, „mrok“, „ptak“, „wiatr“, „organy“ i „kolumny“. Jest to już objaw krytykretynizmu, czyli zaczadzenia belferską wpływologją i wiatrologją. Jeżeli rzecz dzieje się w Katedrze, panie Haecker, to muszą być i „kolumny“ i „organy“ tu i tam; trudno, żeby była mykwa na Wawelu. Może być, ale dopiero... po rewolucji...

* * *

Pozostaje teraz do rozstrzygnięcia kwestja pryncypalna, jakiego to poetę oszkaradził i pomniejszył swym obstalowanym entuzjazmem i punktualnym pietyzmem ten pan Haecker, oraz na czem polega tendencyjne, *mala fide* sfałszowanie wizerunki Wasilewskiego? Przytoczyliśmy tu już poważne osądy dwóch starej daty historyków literatury, Jarochowskiego i Bartoszewicza. Ale to mało jeszcze. I nie w tem sedno. Poeta, z którego p. Haecker

*) „Naprzód“ z 9 listopada 1023:
„Robotnicy nietylko się bronią, ale atakują; z każdego okna, z dachów, zza drzew, wyćwiczeni w robieniu bronią robotnicy, wszyscy byli żołnierze—walczą zdobytemi karabinami do upadłego. Trzeba było widzieć młodych i starszych towarzyszy, jak ciągle biegali w poszukiwaniu za amunicją, ładowali karabiny i wybiegali na ulicę, aby walczyć... Nikt nie uciekał, nikt nie usuwał się przed niebezpieczeństwem—robotnicy-żołnierze walczyli z zapałem, zaściełając, niestety, plac boju swemi trupami“.

wszelkimi sposobami chce wywęszyć i wytropić „rewolucyjność“ w znaczeniu perturbacyj społecznych, jest akurat wprost przeciwnie pierwszym w Polsce pieśniarzem nacjonalizmu, mocnego, militarnego, imperjalistycznego. Pisząc o sonecie „Juljusz Cezar“ komentuje wprawdzie p. Haecker: „w sonecie tym wyraża poeta demokratyczny pogląd na nietrwałość dziejową wszelkich imperjalizmów, powstałych z podboju narodów“. Ale w rzeczywistości wprost przeciwnie tylko jeden Wasilewski jest właśnie chwalcą, apologetą, dytyrambistą miecza, szabli, korda. Tylko jeden Wasilewski daje poetycki wyraz hasłu Polski od morza do morza, wywalczonej mieczem, zdobytej i dzierżonej siłą. I tak np. w wierszu do Kmity czytamy:

„Czy słyszysz Kmito akordy
Odgrane na wieków rogach
Po grodach szczękają kordy
Sztandary na Dniepru progach.
Sztandary za Karpatami
Szumią tryumfu pieśniami
To święty taniec pamiątek
Pomiędzy dwóch mórz granicą
Muzyką wieków dziesiątek
Miłość ojczyzny dziewicą
A szabla z rodziną Boga
Takt daje na karku wroga.“

O tej Polsce od morza do morza, z morzami, jako granicami, czytamy w pieśniach o „Dzwonie Zygmunta“:

Płaczmy u świętych podwoi
Żelaza ostrzmy o głazy
Gdy serca zemsta upoi
Wróg pozna Chrobrego razy.
Pomiędzy dwoma morzami
Rozeprzem się ramionami.

Teraz sobie uświadomijmy, jak wielką jest fenomenalność tych akordów, uderzających w mocarność, w energję ekspansywną, w imperjalizm państwowy, tych przypomnień o konieczności państwa między dwoma morzami rozpartego, rzuconych przez poetę w Polskę w erze między r. 1830 a 1846: w erze najbezdenniejszej i najbeznadziejniejszej niewoli, po zgnieceniu powstania w r. 1831 i 1836 (Krakowskiego), kiedy naród już się oswajał z kratami więzień rozbiorowych i układał znów do ugodowego odpoczynku... A tu w małej mieścinie wstaje trubadur sentymentalny, Wertherowski, we fraczku Biedermajerowskim i z długiemi włosami paryskich romantyków z gminy V. Hugo... i ze swojej „lutni z kruchych wierzb nadwiślańskich“ utoczonej dobywa tony mocne, męskie, rycerskie, bohaterskie, suwerenne... I raz za razem dźwięk po dźwięku, uderzenie po uderzeniu rozpoczyna ewokowanie wielkiej, mocarstwowej szerokiej militarnej Polski:

Widziałem naród wielki potężny,
Który lat tysiąc miał za piastuna
Twardy na trudy, szlachetny, mężny
Który miał ramię nakształt pioruna
(„Widzenia“).

W słynnym „krakowiaku siódmym“, zaczynającym się od pobudki: „Na Wawel! Na Wawel krakowiaku żwawy!“ streszcza się w jednej strofie cała jego religja tradycjonalistyczna:

Dzieje twojej ziemi na grobowcach czytaj,
Twoich wodzów groby uściskiem powitaj,
Powitaj uściskiem, w oczy spojrzyj śmiało,
Bo Tobie wdół patrzeć nigdy nie przystało.
Oni światu przegrażali i dziś chociaż w trumnie
Chociaż okiem marmurowem poglądają dumnie,
A na widok krzywych szabli, co zdobią grobowiec
Wnuk ich wzdycha, drży najezdnik, uklęka wędrowiec.

A znów w innym krakowiaku (ósmym) adoracja tej szabli, kiedy wspomina dawnych Sarmatów:

Imię Marji miał na szabli
Wroga rąbał djablo,
Z wojny zawsze wracał zdrowo
Bo się żegnał szablą.

Dalej w apoteozie zaczepnej, radosnej wojowniczości zajść już nie można, jak dając wyraz tęsknocie za tymi djablimi rębaczami, co się żegnali szablą. Niema poety w naszem piśmiennictwie, któryby tak śmiało, jasno i wyraźnie proklamował prawo mocy opancerzonej dłoni, *manus militaris*, któryby tak był olśniony właśnie zwycięstwami orężnemi na polach chwały tych przodków, którzy „ziemię zalali swą chwałą“ (W Katedrze“). I w tym trybie, w tym sensie w każdym wierszu, w każdej zwrotce eligijne Dantejskie *riccordarsi del tempo felice*, wspominanie tysiącwiekowej przeszłości, kiedy to państwo polskie było mocarne, rycerskie, rozparte, zatykające sztandary „za Karpatami“, na Wołoszczyźnie, na porohach Dniepru, na Litwie, od morza do morza, a wasale z gołemi głowami na twarz padali przed majestatem króla. *Lira Heroica!*

Otóż z tego to poety siły i walki, majestatu polskiego i suwerenności, fałszerz - komentator konstruuje sobie czelnie jakiegoś protoplastę ideowego... rewolucji socjalnej.

Komentując np. Krakowiaka „Wieści o wiośnie“ uważa go odrazu za allegorję polityczną: ...„Wiosna jest symbolem ery wolnościowej“... „Kwiaty z wyjątkiem pierwiosnka uosabiają żywioł konserwatywny (*sic*) aloes element arystokratyczny“...

„Aloes element arystokratyczny“!...

Ale komentując tak wszystko „sumiennie“ i aleosowo przemilcza p. Haecker dwa tylko wiersze w skromnym tomiku, to jest: „Co mi tam“ i „Alleluja.“ Nie uważa ich za godne swej „analizy“ krytycznej, gdyż natknął się w nich na jakieś słowa widocznie nieco... trefne... Otóż w wierszu „Co mi tam“ jest taka zwrotka:

Ach szaleć w życia zamęcie
Lepiej niż przespać, przenudzić
Chociażby, jak żyd wyłudzić
Od świata choć szał w procencie“.

W wierszu zaś „Alleluja“ taka strofa:

Daremnie plugawe żydostwo
Plwało w twarz i ciało siekło
I Królujące Ubóstwo
Wlekło pod krzyż, aż na krzyż zawlekło“.

Przemilczać tych dwóch wierszy tymczasem nie należało pod żadnym pozorem. Z tych dwóch cytat bowiem można jasno skonstruować sobie, jaki to pogląd na rasę, z której wyszedł np. komentator... Haecker, wyrobił sobie E. Wasilewski.

A to jest bardzo ważny szczegół w rekonstruowaniu sobie pełnego a prawdziwego wizerunku duchowego E. Wasilewskiego. Ta odraza do „plugawego“, lichwiarskiego żydostwa łączy się organicznie z całą uzupełniająco żarliwą religją rycerskiej wojowniczości w szlacheckiej, historycznej Polsce, religją, jaką przepojony był do szpiku kości ten czarująco skromny „*bohemien*“ z „*petite paroisse*“, ten Amfion, ożywiający swym serdecznym pieśniarstwem kamienie starego Krakowa, gdzie wedle słów Kalinki „ludzie ziębią, a kamienie grzeją.“

Krakowski „Czas“, zdając sprawę z tego nowego wydania E. Wasilewskiego (21 lut. 1925) wychwala p. Haeckera, że „w swej pracy nietylko streścił wszystko, co się dotychczas wiedziało o Wasilewskim, ale naszą o nim wiedzę znacznie rozszerzył, utwory najkompletniej zebrał, najkrytyczniej wydał i najstaranniej objaśnił a przez znakomity wstęp spłacił dług Krakowian wobec największego przed Wyspiańskim poety Krakowa.“ Dosłownie.

Żydzi za nas długów spłacać nie potrzebują, gdyż jeszcze jesteśmy wypłacalni. Bankructwa duchowego nie ogłosiliśmy. Studjum o Wasilewskim jeszcze nie napisane. Dług niespłacony.

ADOLF NOWACZYŃSKI

MOTYW PRZYRODY W POEZJI ANGIELSKIEJ

(*Ze szczególnem uwzględnieniem Byrona*)

V

NIEMA u Byrona utworu, któryby nie był odzwierciedleniem stosunku do Przyrody. Motywy zaczerpnięte z niej przeważają nawet w tych jego utworach, co do których, zdawałoby się z założenia, że na pierwsze miejsce wysunie się w nich stosunek poety do życia. Zestawiając dla przykładu dwa dokumenty poetyckie, zajmujące się problemem duszy ludzkiej w tym właśnie stosunku jej do życia: „Manfreda“ Byrona i „Fausta“ Goethego, zobaczymy odrazu, że jedna z narzucających się różnic pomiędzy jednym, a drugim utworem dramatycznym polega właśnie na tem, że kiedy u Byrona pełno jest obrazów, inwokacyj, porównań, wyrosłych z wrażeń, udzielanych poecie przez przyrodę, to Goethe „Fausta“ swego niemal całkowicie z pierwiastków tych ogołocił. Nie myślę bynajmniej zaznaczeniem tego szczegółu przeprowadzać granicy pomiędzy ogólną, zasadniczą wartością obu utworów, określenie tej wartości wyszłoby niewątpliwie na korzyść Goethego, zwracam tylko uwagę na szczegół ten, jako jeden z charakterystycznych rysów, odróżniających oblicza obu wielkich twórców.

Chciejmy przypomnieć sobie na chwilę „Manfreda“. Oto w pierwszej zaraz scenie mamy hymn na cześć Mont-Blac'u, „Króla gór, od prawieków na skalistym siedzącego tronie“. Odmiennie od „Fausta“, a po części Szekspira, Manfred Byron zwraca się w drugim zaraz monologu do ziemi, do świtu, do słońca wschodzącego, do orła, szybującego w przestworzach. Bohater tego dramatu *par excellence* lirycznego, wplatając w koło swych uczuć wszystkie zjawiska Przyrody, zachwyca się wspaniałościami świata gór, któremu przez usta jego, stosownie do swej metody poetyckiej łączenia z temi zjawiskami swoich własnych stanów duszy, przeciwstawia poeta — podobnie, jak ongi Thomson, swą nicość, nicość człowieka, będącego półprochem, półbóstwem, niezdolnem ani spaść niżej, ani podnieść się wyżej.

Rousseau'wską tęsknotę do spokojnego życia na łonie Przyrody budzi w nim dźwięk fletni pasterskiej, zmieszany z głosem dzwonków stada: pragnie żyć i umierać z tym dźwiękiem. Malując pesymistyczny nastrój swej duszy, ucieka się znowu do obrazów z Przyrody: pragnie być, jak sosny, ruiny jednej zimy, bez kory i konarów. Pragnie, iżby wyniosłe skały lodu, lawiny, powaliły go swoim ciężarem. W przygnębieniu swem słyszy ich grzmoty, widzi mgły, krążące naokoło lodozwałów, widzi chmury, wirujące w białych, siarką przesyconych kłębach. A chcąc dać najdobitniejszy wyraz swej rozpaczy, porównywa przewrót w duszy swojej z jakimś gwałtownym przewrotem w Przyrodzie.

A dalej—nim bohater tego subjektywnego, to znaczy lirycznego choć udramatyzowanego poematu weźmie w dłoń krztynę wody, nim ją ciśnie w powietrze, ażeby temi czarnoksięskiemi praktykami wywołać wróżkę Alp, staje z zachwytem wobec wspaniałej, słońcem oświetlonej katarakty, zaś rozważania na temat nicości życia poprzedza obraz, przedstawiający, jak słońce łukiem trójbarwnym grzmiący stroi potok, jak potok ten, wodospad Staublachu, srebrnym, zbałwanionym spadając słupem z szczytów skalistych, rzuca lśniste smugi spienionego światła, jak słup ten nabiera w umyśle jego podobieństwa z potrząsającym kitą ogona apokaliptycznym rumakiem, z poganiającą go śmiercią na grzbiecie. A gdy po obrazie, który choć na chwilę uspokaja wzburzone jego wnętrze, zjawia się wróżka Alp, będzie ona znowu niczem innem, jak tylko wizją strojnej w tęczowe barwy Przyrody: kwiat jej lica podobny jest do żagwiących się ogni różanych, któremi zorza letnia powleka dziewiczy śnieg stromych opok lodowych.

To samo da się powiedzieć i o innej wizji manfredowskiej, o postaci Przeznaczenia, którego zjawę poprzedzają tak samo ogromnie barwne światła malowidła alpejskiego. Powoli wznosi się w górę wielki, jasny krąg księżyca, w blaskach jego kroczy Przeznaczenie po czystych, nieskalanych, ludzkiemi stopy nietkniętych śniegach, po dzikim kryształowym oceanie piętrzących się lodów. Snuje się ta wizja po skamieniałym wirze ostrych grani, aby na siostry swoje poczekać u olbrzymiej, stromej, dziwacznej, trzęsieniem ziemi wyżłobionej skały, na której szczycie znużony wypoczywa obłok.

Obrazy te możnaby wprost malować, bez obawy, że do takich, oczywiście przez tęgiego artystę skopjowanych malowideł, wkręci się pierwiastek literacki. Taka jest w nich plastyka i taka barwa. Odczuje i zrozumie je przedewszystkiem człowiek—a takich chyba jest sporo między nami—który sam miał sposobności pięcia się po naszych, urokowi Alp nieustępujących turnach tatrzańskich, który sam miał sposobność przedzierania się przez ścielące się u ich stóp dziewicze lasy i knieje, który sam miał sposobność przyglądania się w niemym zachwycie istotnym cudom Przyrody, jak gdyby w przedwieczny, o bożej potędze śniący sen zaklętym, pawiookim stawom i jeziorom górskim.

Proszę sobie przypomnieć hymn, śpiewany w „Manfredzie“ na cześć władcy świata, Arymana. Jakkolwiek imię to jest reminiscencją ze starożytnej Zend'a vasti, to ten, który je nosi tutaj, jest przecież znowu niczem więcej, jak wyobrazicielem Przyrody, a hymn wspaniałym panteistycznym peanem na cześć jej twórczej potęgi. Na zew Arymana - Przyrody chmury odpowiadają grzmotem, przed jego spokojem słoneczne pierzchają promienie; pod jego krokami ziemia grzmi i świat się zapada: wulkany rodzą się pod jego stopą, jego władztwu wszelki ulega żywot wraz z nieskończonością swych skonów. A wreszcie—zwracając się do Astarty, bogini miłości, wspomina o błękitnych, pogodnych nocach, w których ongi płoszył śpiące po drzewach ptactwo, w których wilki budził po górach, w których słyszał odzywające się echa czarnych jaskiń, a jeżeli idzie o porównanie, to dusza jego wydaje mu się, jak wicher gorący, Samum, syn pustyni, co poprzez martwe wiejąc piaski, huczy i szaleje po ich zwałach samotnych.

Do jakiego stopnia Byron jako twórca, łączył się z Przyrodą, widać to z jego własnych słów, kiedy mówi wprost o sobie, że duch jego nigdy ludzką nie kroczył drogą, że nie ludzkiemi oczami patrzał na ziemię, że wszystka jego żądza, jego radość, jego boleść, wszystka jego potęga wewnętrzna nie miała nic wspólnego z celami życia ludzi, że namiętności te i pragnienia czyniły go cudzoziemcem śród świata, że natomiast rozkoszą jego było błądzić po pustkowiach, na niedostępnych szczytach gór ostrem oddychać powietrzem, rzucać się w potoki, ruszać się w odmęcie bałwanów morskich, śledzić po nocy obieg księżyca, wpatrywać się w gwiazdy, w wstęgi błyskawic, wsłuchiwać się w szumy wiatru i w szelest opadających liści. Takie mając umiłowania, jest on lirykiem najczystszej wody, nawet tam, gdzie dla wyrazu swych stanów psychicznych innej używa formy, aniżeli ta, z którą, nagół wziąwszy, przywykliśmy łączyć pojęcie wiersza lirycznego.

Umierający Manfred zwraca się nie ku ludziom, lecz ku słońcu, ku promienistemu kręgowi, ku bóstwu

młodej natury, ku najrańszemu słudze Wszechmocnego, ku widnemu dla jego oczu materjalnemu Bogu, który na górach zachwycał chaldejskich pasterzy, póki całej duszy swojej nie wylali w modłach. Zwraca się ku obrazowi i cieniowi nieznanego, ku celnej gwieździe, ku środkowemu punktowi świata, ku monarsze wszystkich sfer i wszystkich mieszkańców, którego barwą powleka się duch nasz i nasze oblicze. Zrodzone z obcowania z Przyrodą pojęcia panteistyczne u Byrona nie są tak ściśle skonstruowane, jak u wielkiego jego współzawodnika Shelleya. Dusza jego waha się pomiędzy panteizmem a teizmem. Takie wahanie się, takie falowanie mamy właśnie w tym manfredowskim hymnie do słońca, falowanie, które naogół wziąwszy, kończy się u Byrona teizmem, wiarą w bóstwo niemal osobiste.

Dla takiego indywidualisty, jak Byron, dla człowieka, wierzącego w posłannictwo silnych jednostek, nie było nic naturalniejszego i nic łatwiejszego, jak stworzenie sobie arcytypu takiego wspaniałego indywiduum i przeniesienie tego arcytypu na bóstwo.

Podobnie, jak tylu innych poetów angielskich, jak między nimi Burnsa i Shelleya, spotkał i spotyka i jego zarzut ateizmu. — Zarzut wynikający stąd, że, jak Burns i Shelley, podobnie i Byron nie uginał karku pod jarzmo wierzeń kościoła anglikańskiego, ale owszem, w sposób surowy, namiętny, niesłychanem zaprawiony szyderstwem, karcił religijną obłudę swych ziomków. To występowanie przeciwko dogmatowi wiary urzędowej, ta walka z nim, z taką potęgą ujawniona choćby w lirycznych wybuchach „Kaina“, nie ma przecie nic wspólnego z samą wiarą w ów romantyczny boży absolut, jako źródło wszystkiego, co jest, a przedewszystkiem, jako źródło twórczości.

I oto dotarliśmy do chwili, gdzie z byronowskiego kultu Przyrody utworzył się inny, zasadniczy, reakcją przeciwko racjonalistycznym poglądom wieku oświecenia będący motyw religijny, który z biegiem czasu, przerodziwszy się w urodzony z nadmiaru uczucia mistycyzm, miał rozpierać poezje nowoczesną. Ale jest to również teren, osobnych wymagających zastanowień. Zaznaczywszy go więc tylko, pozwolę sobie na zakończenie przytoczyć słowa Mickiewicza, charakteryzujące tę właśnie stronę twórczości poetyckiej Byrona.

Wspomniawszy w przedmowie do przekładu „Giaura“ o wpływie angielskiego twórcy na poezję europejską, na której znać na każdym kroku jego barwę i piętno, jak mówi, zwróciwszy uwagę na zarzut bezbożności, zarzut, oparty między innemi i na tem, że Byron, występnych ludzi wybierając na bohaterów swoich pieśni, dawał niejako apoteozę zbrodni, nadmieniwszy wreszcie, iż zarzut to niesłuszny, gdyż bohaterów swoich nie obdzierał z jednego, to jest, z sumienia, tak charakteryzuje twórca nasz religijną, że tak rzekę, powagę poezji byronowskiej:

„Sceptycyzm Byrona różny jest od tej obojętności na wszystko, co jest wysokie i piękne, od tej zwierzęcej nieczułości, którą sofiści ochrzcili sceptycyzmem, a która jest tylko dobrowolną głucho-ślepotą. Cała filozofja przeszłego wieku (to znaczy ośmnastego) ,dążyła do tego, ażeby ludzi już pochlebstwem odwieść, już groźbą i śmiechem odstraszyć od poszukiwania prawd wyższych i zasadniczych, ażeby wmówić, że te prawdy albo są do pojęcia niepodobne, albo niewarte dochodzenia. Byron pierwszy z poetów nie dał się zaspokoić taką sofistyczną kondemnatą myślenia i uczucia. Wielka zagadka świata, zagadka przeznaczeń rodu ludzkiego, przyszłego życia, stała mu zawsze przed oczyma. Poruszył on wszystkie zasadnicze pytania moralne i filozoficzne, pasował się ze wszystkiemi trudnościami dogmatu i tradycji, klął i dąsał się, jak Tytan Prometeusz, którego cień tak często lubił wywoływać: nie rozwiązał sobie zagadnienia, nie uspokoił duszy: ależ mu brakło, równie jak jego bohaterom, czasu!“

I przeczytawszy te nieśmiertelne, a tak dosadne, tak do dnia dzisiejszego trafne słowa Mickiewicza, znalazłem i dla siebie uniewinnienie, dlaczego właśnie Byronowi poświęciłem główną część tych rozważań, dlaczego właśnie na jego stosunek do Przyrody taki położyłem nacisk.

Wiążą się z tym stosunkiem owe najwyższe zagadnienia, o których wspomina nie mniejszy od niego autor „Dziadów“. Wypływa z tych zagadnień umoralniająca nas wiara, że my, dzieci Przyrody, jesteśmy równocześnie dziećmi Boga, że twórcze tchnienie boże — wiara, która stanowi jeden z zasadniczych momentów wywodzącej się od Byrona romantyki nowoczesnej — przenika i naszą duszę, iż może tworzyć dzieła, zbliżające ją do Stwórcy. Wypływa z tych zagadnień wielki bodziec życia: leniwemu, strupieszałemu zastojowi przeciwna otucha, że nieśmiertelne, wieczyste trwanie Boga jest upewnieniem i naszego nieśmiertelnego, wieczystego trwania. Ale świadomość ta wkłada na nas jeden wielki obowiązek: czynić wszystko, żeby stać się jej godnym. Zaś godnymi staniemy się wówczas, jeżeli ukochamy wszelaki twór boży.

A w wielkich chwilach przełomowych, w których waży się życie narodów, nie powinien sobie wyrzucać człowiek, sercem swem choćby najszersze obejmujący kręgi, nie powinien sobie poczytywać za słabość, jeśli serce to na gorącym przychwyci uczynku i zobaczy, że mu się kręgi te naraz ścieśniają, że w gruncie rzeczy najgłębiej i najsilniej umiłował twór boży, w istocie sobie najbliższy, ziemię ojczystą, że poza nią nic już innego nie widzi, że o życie i rozkwit jej dba przedewszystkiem. Nie grzech to, lecz cnota, nie słabość to, lecz prawdziwie twórcza, wszystkie uczucia w jedno ognisko zestrzelająca siła.

JAN KASPROWICZ

WINA

— Co ci jest? W tobie jakieś ciemne myśli płaczą,
Jakby duszę twą skaził skrytej winy trąd;
Coś uczynił, że dolę obrałeś tułaczą
I że celem twym zawsze jak najdalszy ląd,
Byle tylko tu nie być, byle odejść stąd?

„— Nie wiem sam... Może ludzką pozłacając glinę,
Nazbyt dobrze poznałem nędznych kukieł czczość
I wzgardliwej miłości popełniłem winę,
Co na uczty, gdzie małość zasiada i złość,
O północy przychodzi, jak Kamienny Gość.

Jej oczy, umotane w widnokrężne dale,
Twardą surowej dłoni powściągają kaźń,
Bo nad mrowiem padołów, na gór lodozwale
Pała, niby uwita z tęsknot ludzkich baśń,
Gwiezdna korona światów, Wszechmiłości jaśń.

Ale głuchej pogardy wyzbyć się nie mogę,
A nie chcę, by jej oścień w duszy mojej grzązł,
Więc samotną obieram, niepowrotną drogę,
Gdzie mnie cyprys ocieni lub mogilny wiąz,
Gdzie zaklnę miłość moją w marmur, spiż lub bronz“.

STANISŁAW WYRZYKOWSKI

LIBERUM VETO

Najczęstsze skargi.—Obawa i niezaradność.—Nowotwór ministerjów. —Co to jest departament ogólny?—Urząd demoralizujący, szkodliwy i bezużyteczny. — Pytania opodatkowanych. — Pensje dygnitarzów i argument robotników.—Lew polityczny.

Do najzwyklejszych wypadków należą u nas wyjękiwane w rozmowach gorzkie żale na niedbalstwo, nieudolność lub nadużycia urzędów i urzędników, pochodzące nieraz z ich grona. Gdy takiego elegistę zapytasz: czemu nie zawiadomi o tem wyższej władzy — jeśli to funkcjonarjusz państwowy, albo czemu nie zawiadomi społeczeństwa za pośrednictwem prasy, jeden odpowie, że nie chce się narażać na zemstę, a nawet na karę ze strony zwierzchników zbyt tolerancyjnych i często współwinnych, drugi — że szkoda trudu, który nie osiągnie żadnego skutku. Dzięki temu błoto płynie szerokiem łożyskiem bez tam i tylko czasem zakotłuje się przy wrzuconym w nie kamieniu. Ale w ostatnich czasach już tak ono dokuczyło wszystkim, których topi lub obryzguje, że nawet tak potulne, cierpliwe i bierne społeczeństwo, jakiem jest nasze, zaczęło zdobywać się na odwagę obrony i przeciwdziałania. Podjęta obecnie redukcja urzędników i wydatków zbytecznych pobudziła widzących, w jakim kierunku powinna ona się posuwać, do wskazywania operatorom chorobliwych nowotworów i niepotrzebnych narośli w organizmie państwowym, które przedewszystkiem należy usunąć. Jest ich niepoliczone mnóstwo, są jednak między niemi szczególnie dokuczliwe, przeciw którym zwracają się najcięższe skargi. Jeżeli te skargi wychodzą ze świata urzędniczego, to najczęściej dotyczą: protekcyjności, istnienia zorganizowanych klik, bezkarności przewinień i... departamentów ogólnych.

O tych nieodpowiedzialnych a wszechwładnych ciałach chcę dziś rzec słów parę. Jak wiadomo, każde ministerjum dzieli się na departamenty szczegółowe. Obok nich wszakże, a raczej nad niemi stoi departament ogólny, bez określonej funkcji, ale za to przywłaszczający sobie wszystkie. Posiadam w tej sprawie wiarogodne skargi ze wszystkich ministerjów, dam głos przykładowo jednej.

Jaki jest cel istnienia tego departamentu, — zapytują autorowie — liczącego przeszło trzecią część wszystkich urzędników centrali? Odpowiedź nieprawdopodobna, ale prawdziwa. Skupił on w sobie wszystkie agendy pomocnicze innych departamentów, a więc: budżet, rachunkowość, asygnacje, czynności prawne, stosunki z innemi ministerjami, z Sejmem, Senatem, prezydentem Rzeczypospolitej, sprawy osobowe, rozrządzanie funduszem dyspozycyjnym ministra. Tym sposobem opanował cały obszar działalności ministerjum, stał się we wszystkich sprawach ostateczną jej instancją, zamiast być podrzędną. Dyrektorzy departamentów fachowych zostali zepchnięci na stanowisko urzędników uzależnionych, upośledzonych i ubezwładnionych, a przytem nieodpowiedzialnych ani przed społeczeństwom, ani nawet przed ministrem, żaden bowiem akt większej wagi nie wychodzi na zewnątrz bez zatwierdzenia dyrektora departamentu ogólnego. Tą swoją wszechmocą nietylko paraliżuje on ruch pojedyńczych oddziałów maszyny administracyjnej, ale wprzwadza rozstrój w ich stosunki wewnętrzne i osłabia karność urzędników. Ci bowiem, wiedząc, że najważniejsze dla nich sprawy— awansów, zasiłków, urlopów, redukcji, stabilizacji i t. d. zależą głównie od dyrektora departamentu ogólnego, tam szukają łask, lekceważąc swoich właściwych zwierzchników. Stałe dawniej narady dyrektorów departamentów, tak niezbędne i pożyteczne, stały się fikcją, cieniem zamarłego ciała. Naturalnie (jest to zwykły wypadek ludzki)—taki uprzywilejowany i nieodpowiedzialny *maior domus*, którego czynności nie krępuje i nie kontroluje żadna instancja, bo nawet często zmieniany i sprawam politycznemi pochłonięty minister nie może rewidować i zmieniać jego rozporządzeń, znieprawia samowolą swój charakter i otwiera tajemny dostęp do swej władzy pobudkom osobistym, krewniaczym, znajomkowym, lub partyjnym, którym całe ministerjum musi służyć. I gdyby przynajmniej ta kopuła panteonu ministerjalnego wiedziała, co się w nim dzieje! Przedstawiciele departamentu ogólnego nie umieli pod koniec grudnia poinformować nawet w najogólniejszych zarysach, jak będzie wyglądał budżetowo styczeń 1925 r., a co gorsza nie ustalono jeszcze najogólniej, jakie kredyty będą wyznaczone na następny miesiąc dla pojedyńczych departamentów. W swym ostatecznym wniosku mówią autorowie memorjału: „Tak więc departament ogólny nietylko nie przyniósł żadnego pożytku, ale wyrządził wiele szkody— wywołał rozstrój, zdeorganizował departamenty fachowe, zdemoralizował urzędników przez zamącenie pojęcia i istoty ich odpowiedzialności, w obrębie zaś prowadzonych przez niego agend pomocniczych skomplikował pracę biurokratyczną tak dalece, że to odbiło się fatalnie na załatwianiu spraw". Ponieważ departamenty ogólne istnieją we wszystkich ministerjach i wszędzie wywierają zgubny wpływ na organizację i działalność, jest to więc potrzeba pierwszorzędnej w agi, ażeby administrację kraju uwolnić od tych głównych czynników jej rozstroju, o ile zaś taki organ, czuwający nad wykonaniem budżetu jest konieczny, zredukować go do ciała pomocniczego przy ministrze. Tego wymaga nietylko dobro administracji, tego wymaga również społeczeństwo, obowiązane wielkim wydatkiem na utrzymanie urzędników zbytecznych, a nawet szkodliwych. Dlaczego my mamy płacić za to, że gromada amatorów chce posiadać i wyzyskiwać szeroką i paraliżującą władzę? Dlaczego ten sztucznie przyprawiony organ nie został dotąd obcięty przez komisję oszczędnościową?

Podobne pytania można stawiać w nieskończonym szeregu. Dlaczego obłupieni podatkami mieszkańcy Warszawy mają składać się na pensje dla dyrektora wzajemnych ubezpieczeń 1500 zł. miesięcznie, dla inspektora 2000, dla referenta 600 i 800, dla gospodyni Instytutu moralnie zaniedbanych dzieci w Mokotowie 320 i całkowite utrzymanie? Czy rozmaici panowie i panie nie mogliby się zadowolić połową obecnych poborów? Wtedy nietylko opodatkowani uczuliby ulgę, ale strajkujący robotnicy utraciliby usprawiedliwiający ich argument. Bo jeżeli pensje urzędników sięgają do 2000 zł. miesięcznie, a pensje dyrektorów fabryk do 10000, to jak odeprzeć żądanie robotnika, ażeby był stosunkowo uposażonym? Przykład skromności przydałby się zgóry, a wówczas może strajki byłyby rzadsze, a ich wymagania mniejsze, może nawet spadłaby ilość bezrobotnych. Łupiestwem na górze nie da się obniżyć skala wymagań na dole. Zważmy tylko: najciężej pracujący górnik zarabia miesięcznie 80 — 160 zł., a dyrektorowie fabryki, której on strasznym wysiłkiem dostarcza węgla, płacą sobie po 10000 zł. Czy to nie zdrożność, wołająca o pomstę do sprawiedliwości?!

Gdy przysłuchamy się westchnieniom smutnych Polaków (a takich jest obecnie około 20 miljonów), najczęściej brzmi w nich: Ach, czemuż my nie mamy Mussoliniego! On by nas uwolnił od wszystkich zewnętrznych i wewnętrznych strapień! Dziś to westchnienie wyrwało się z uciśnionych piersi ze szczególną siłą, gdy tytan włoski w swych ostatnich mowach cisnął skały na smoki niemieckie. Doprawdy jest to olbrzym śród karłów. Dziś gdy w dżunglach politycznych słyszymy tylko szczekania szakalów i wycia hyjen, lub syki wężów-dusicieli, a czasem świergot naiwnych gilów (polskich), głos tego śmiałego, szczerego i nieustraszonego człowieka rozlega się w puszczy europejskiej, jak ryk lwa, który ucisza i przestrasza

drapieżców. Jakże się trwożnie zwinął zwierz teutoński, którego od kilku miesięcy głaszcze i czule wabi cała gromada myśliwców dyplomacji Anglików, Francuzów, Belgów, Holendrów, no, i naturalnie Polaków! Gdyby p. Skrzyńskiemu przyśniło się, że wypowiedział taką piorunującą mowę przeciw Niemcom, obudziłby się przerażony i może po raz pierwszy w swej karjerze politycznej niezadowolony — z siebie.

ALEKSANDER ŚWIĘTOCHOWSKI

GŁOSY

BRAK ODWAGI CYWILNEJ

SĄ jakieś tajemne moce, które paraliżują każdą próbę naprawy i organizacji państwa. Ilekroć jakiś rząd wstąpi na drogę naprawy stosunków, zaraz wybucha coś nieprzewidzianego, co wstrzymuje, albo niweczy jego poczynania. Kiedy za pierwszego Sejmu rząd Ponikowskiego—Michalskiego — Skirmunta potrafił już wzbudzić zaufanie powszechne i natchnąć obywateli otuchą lepszego jutra, ni stąd ni zowąd ówczesny Naczelnik Państwa znieważył ten rząd, zmusił do dymisji i zabawił się w dwumiesięczne, przesileniowe „piłowanie" Sejmu i Państwa. Kiedy w kilka lat później rząd większości narodowej ustalił zasady i przeprowadził zarządzenia do sanacji, nagle wybuchnął bunt krakowski, a gdy i to nie skutkowało, znaleziono rozbijaczy większości narodowej i próba ratowania się własnym wysiłkiem została udaremniona.

Niedawno podjęto nową bardzo nieśmiałą próbę ratunku. Stronnictwa, dotąd zwalczające się, zasiadły do wspólnego stołu obrad, aby obmyślać ratowanie państwa. Dla zyskania na czasie okrojono na kwartał dość mechanicznie budżet, ze znacznem pokrzywdzeniem wielu funkcjonarjuszy państwowych, którzy naogół przyjęli ten dotkliwy cios z rezygnacją, w nadziei, że ich pokrzywdzenie przyczyni się do wyciągnięcia państwa z ruiny. Rząd korzystał z tego czasu i obmyślał sposoby organicznego, a nie mechanicznego ratowania Skarbu. I nagle, ni stąd ni zowąd, zastrajkowały telefonistki. Jest tam dosyć półanalfabetek, dosyć pań dobrze sytuowanych, które zarabiają w telefonach na ciastka i perfumy, ale jest dużo pracownic sumiennych i wykwalifikowanych. Po wybuchu strajku właśnie te damy, niepotrzebujące zarobku, okazywały największy upór w przeciąganiu strajku i wywierały największy nacisk na swoich koleżankach. Żądały między innemi podwyższenia płac. A przecież taka spódnica, bez studjów, bez przygotowania, bez odpowiedzialności, bierze już pensję kapitana, a nawet majora, pensję komisarza starostwa i nauczyciela szkoły średniej. I kiedy takiemu pracownikowi obcięto pensję, półanalfabetka telefoniczna domaga się podwyższenia swoich poborów.

Sam powód do strajku był szczytem karygodnej anarchji. Kasjerka sprzeniewierza na korzyść związku zawodowego, do którego należy, część płacy jednej z pracownic. Gdzieindziej nietylko wyleciałaby ze stanowiska, ale poszłaby pod sąd i po procesie nie byłaby już nigdzie przyjęta. Nawet w służbie półpaństwowej obowiązuje zasada: nie kradnij.

Ale w tem zmaganiu się bezwstydu z całem społeczeństwem panie te znalazły pomoc ze strony rządu. Rząd koalicyjny okazał się tu niezdolny do rządzenia, to jest do stosowania i przestrzegania prawa. Złe i steroryzowane telefonistki opanowały zakład, a na rozkaz władz policja broniła tego stanu rzeczy. Przypmina to bolszewickie opanowywanie fabryk przez rady robotnicze. Przechodzimy teraz okres Nitti'ego i Giolitti'ego we Włoszech. Ministrowie Spraw Wewnętrznych i Przemysłu i Handlu okazali, że nie rozumieją, co to znaczy rządzić. Stwierdzili, że ponad ministrami, dyrektorami, Sejmem i gabinetem istnieje nielegalna, ale politycznie wyższa władza: władza związków zawodowych.

W sukurs telefonistkom pośpieszyli tramwajarze, którzy mają monopol na strajkowanie z przyczyną i bez przyczyny: ot tak; dla rozrywki i fantazji. Panowie ci biorą pensje starostów, dyrektorów gimnazjalnych, pułkowników i t. d. za kręcenie korbą. Zastrajkowali i oni z nałogu, dla odmiany. Potem zaczęli się zastanawiać nad żądaniami, bo strajkujący powinni stawiać żądania. A więc—ponieważ za pośrednictwem tramwajów zbiera się fundusz na pomoc dla bezrobotnych, zażądali, żeby ten fundusz rozdzielić między nich. Podstawa prawna bardzo prosta: podczas strajku nie robią, a więc są bezrobotnymi. Bezrobotni zaś mogą sobie wymierać spokojnie, jak muchy w zimie. I ku hańbie wszelkiej praworządności czynniki rządowe próbowały wywierać na magistrat nacisk, żeby ustąpił.

Dla funkcjonarjuszów państwowych zarządzono wstrzymanie obliczeń wedle wskaźnika drożyźnianego, ale utrzymano ten wskaźnik dla pracowników przedsiębiorstw miejskich. Ci uprzywilejowani pracownicy dostają pod rozmaitemi pozorami trzynastą i czternastą pensję. Rozporządzenia rządowe stają bezsilnie przed bramą, prowadzącą do przedsiębiorstw użyteczności publicznej, opanowanych przez związki zawodowe. Dlaczego? Z powodu braku odwagi cywilnej u ludzi, którzy podjęli się rządzić.

Stało się źle i bardzo źle. Po wybuchu strajku należało natychmiast uznać strajkujących za tych, którzy zerwali umowę, ustanowić tak w telefonach jak w tramwajach płace o połowę niższe i na tych warunkach ogłosić przyjmowanie nowych pracowników. Wtenczas cały naród, a specjalnie ukróceni funkcjonarjusze państwowi, byliby zrozumieli, że się zaczyna programowa, planowa i powszechna sanacja. A to poczucie byłoby osłodą niedoli i pokrzepieniem, dającem siłę do przetrzymania trudnych czasów.

Dlaczego tak się nie stało? Twierdzą, że z tchórzostwa i niedbalstwa. Są tacy, którzy widzą w tem plan. Słyszy się po mieście, że maniacy piłsudczyzny sieją rozmyślnie ten rozstrój, ażeby przygotować triumfalny powrót swego bohatera, który się nudzi, i że nawet do rządu weszli emisarjusze tego kierunku, aby psuć i wykazać, że ani Sejm ani społeczeństwo nie potrafią wyratować państwa z przepaści, bo zbawcą być może tylko jeden człowiek: On. Ja osobiście tak nie wierzę w żadną systematyczną programowość naszych polityków, że nawet i tej zamachowo-przestępczej dążności nic daję wiary. Byłby to plan, wprawdzie zbrodniczy, ale zbyt konsekwentny i wytrwały na nasze usposobienia i całą psychikę, w której myśl poważna nie trwa i godziny. Wyobrażam sobie rzecz tak: najmniej skrystalizowane pod względem programu i fizjognomji politycznej stronnictwo N.P.R. ujęło się za własną kasą, wzbogaconą przez sprzeniewierzenie podobno o 20 złotych i wywołało strajk telefonistek. Wyraz „strajk" jest dla bezmyślnych doktrynerów czemś świętem, wyższem nad rachuby, program, obowiązki: nad wszystko. To też wobec tak skutecznego czarodziejskiego zaklęcia socjaliści i „chadecy", mający także pewien głos między pracownikami instytucyj dobra publicznego, nie mogli zdobyć się na żaden opór, tylko potulnie schylili głowy. Kto pracuje między robotnikami, ten za pierwsze przykazanie uważa nie występować przeciw najwyższej świętości: strajkowi. Jedna Rada Miejska znalazła odwagę na nazwanie rzeczy po imieniu. Za to też zainteresowana N.P.R. i tchórzliwa P. P. S. postawiły w Sejmie wniosek o jej rozwiązanie: nie wolno w Polsce okazywać odwagi w obronie dobra publicznego i państwa. Do związków zawodowych, nie wiem, czy należy 5% ludności. To pewna, że tylko znikoma mniejszość jest w nich zorganizowana. Ale ta

mniejszość wskutek tchórzliwości większości oraz władz, pasorzytuje i czyni wymuszenia na całości.

Przy sposobności strajków, potępionych jednomyślnie przez wszystkie zawody i warstwy, można byłoby wystąpić przeciw warcholskim i antypaństwowym związkom i postawić sprawę jasno: albo rządzą legalne władze, albo związki zawodowe. Na to zabrakło odwagi. Ale zabrakło i tej prostej logiczności, że skoro przez wymuszanie na legalnych władzach związki zawodowe rządzą w samej rzeczy, to należy zrzec się władzy na rzecz związków i razem z rządami zrzucić na nie odpowiedzialność. Ale i dla konsekwentności potrzebna jest odwaga, a tej u nas nie ma.

W tej powszechnej tchórzliwości zaczyna ginąć otucha i wiara, już i bez tego niewielka, jakoby rząd koalicyjny potrafił Polskę wyprowadzić z zamętu. Zaczyna nawet ginąć nadzieja, jakoby ten rząd potrafił doprowadzić do prawdziwej równowagi budżetowej, bo i na to potrzeba nieraz znaleźć odwagę. Stronnictwa skoalizowane stają bezsilnie wobec swoich przedstawicieli w rządzie, króry rządzić nie umie i nie chce.

Cóż więc zostaje? Wola narodu, który nie chce ginąć. Jeżeli wola narodu zmusiła stronnictwa, które kłóciły się na śmierć i życie, iż zasiadły przy jednym stole w rządzie koalicyjnym, to ta sama wola może i powinna zmusić swoich wybrańców do odwagi w dobrem, do konsekwencji i do energji w ratowaniu państwa. Do tego trzeba, żeby społeczeństwo przerobiło i przewartościowało samo swoje przekonania i wyobrażenia. Na teraz pozostaje jedno zagadnienie: czy państwo, czy związki zawodowe? Ponieważ polityka związków zawodowych okazała się szkodliwa, należy im wydać wojnę i zmusić stronnictwa i rząd do ukrócenia ich samowoli lub też do całkowitego ich rozwiązania.

JAN ZAMORSKI

KRYZYS MORALNY W LITERATURZE

W KRAKOWIE ukazał się Nr 1 „Gazety Literackiej“. Postać zewnętrzna dziennika, treść literacka. Podpisuje jako redaktor naczelny i wydawca p. Jerzy Braun. Z pierwszego numeru nie łatwo wymiarkować, do czego i którędy zmierzają literaci, którzy koło tego pisma się skupili. Tem trudniej to stwierdzić, że owi literaci — jak nas informuje wstępny artykuł — sami tego nie wiedzą. „Postanowili oni (dopiero) wejść w siebie, stwierdzić, c z y i c o m a j ą d o p o w i e d z e n i a“... Hasłem „Gazety“ ma być „zbliżanie się do życia“. Wymowniejszy od artykułu programowego jest poemat Jerzego Brauna, osnuty na inwokacji do „współczesności“, która jednak dla niego dopiero nadchodzi, przeto jest raczej przyszłością. Poeta bije czołem o jej stopy „na zwalisku dymiącej Europy“, pragnie jej postać otulić „w mgłę poezji“, wydobyć z niej patos i w ten sposób „nowej dodzwonić się poezji“:

O barbarzyńska, depcąca Współczesności,
Pijany rytm mój niechaj ci drogę uprości.
O przychodź straszna, azjatycka i nowa
Z grzmotem gongów roztrzaskiwanych na głowach...

Krakowski poeta łaknie, jak widać, ostrych wrażeń; inaczej nie dodzwoni się poezji; pytanie, czy Polskę nie za drogo kosztowałaby ta poezja za cenę sprowadzania barbarzyńskiej, azjatyckiej (ale nowej!) „współczesności“, zdaje się nie robi mu kłopotu. P. Braun, utrzymuje, że nikt jeszcze tej współczesności nie rozumie: ani „wysmukły dżentelmen we fraku“, „z którym jutro śmierć (dla samego rymu) wypije kieliszek koniaku“, ani „ta dama w twarzowej żałobie, którą jutro chiński żołnierz zgwałci“. On tylko jeden wie, co będzie, bo, leżąc „na strychu wielkich zdarzeń“, słyszy, jak „dygoce szlak Dżyngischanów“. To już nie przyszłość dla Krakowianina, ale współczesność, nie nadzieje, ale pewność.

Tak się wyraża kryzys nudy krakowskiej, tej specjalnej od Bisanza. Coś musi się zdarzyć — tak dłużej nie może być! Filister w Krakowie podobno dla rozrywki daje sobie ząb wyrwać, ale poecie to nie wystarcza — stać się musi coś strasznego: chiński żołnierz zgwałci damę w twarzowej żałobie na Rynku! Różne już rozrywki Kraków miewał, ale przecież nie można liczyć stale na rzeź ułanów na ulicy...

„Gazeta Literacka“ daje nam sposobność zwrócenia uwagi na zasadniczy rys zmory literatowania naszych czasów — z u p e ł n y b r a k m y ś l i. Dosyć powiedzieć, że literaci zakładają pismo, aby „stwierdzić, czy i co mają do powiedzenia“. Stawiają jako program współczesność, piszą zaś futurystycznie o przyszłości, zapowiadają konkretność, zbliżenie do życia, ale jednocześnie skarżą się, czy chełpią, że są połamani tragedją, bo są „epigonami romantycznych idei,“ romantyczna zaś tradycja „jako forma jest dla nich przekleństwem, jako treść błogosławieństwem“. Stąd tragizm: „ani panowie (?) z trzeciej międzynarodówki, ani panowie z kazaniem o B o g u i O j c z y z n i e (nacjonaliści) nie rozumieją i nie mogą nas zrozumieć“. Nasza tragedja—mówią dalej literaci krakowscy — jest przyczyną, że „dotąd ani pierwsi, ani drudzy nie zatriumfowali“ (zatriumfować, zaistnieć—to specjalność krakowska). Co to ma znaczyć, nikt nie odgadnie, tak zupełnie zatarty jest ślad myśli. Piesek, skowyczący z nieokreślonej tęsknoty, czy żądzy, w porę przedwiośnia, niema w sobie nic dwuznacznego; ale literat, zakładcjący pismo dla wywnętrznienia się, bo mu coś w duszy skowyczy p o p r z e c z y t a n i u „Przedwiośnia“ — nie może być zrozumiany bez komentarza.

Literacie, który pisząc nie wie jeszcze, co ma do powiedzenia, nikt nie będzie współczuł, ani wierzył, że cierpi „krzyżową mękę, rozpiętą na rozdrożu dwóch idej“. Dajmy na to, Żeromski romantyk taką mękę cierpiał — jest to zjawisko historyczne i jako takie dające się wyjaśnić. Ale skąd wam do tej pozy? Czemu, mówiąc o swej dziennikarskiej tęsknocie do współczesności (zamiast o rzeczywistości, bo o nią pewno chodzi), stajecie się echem, jak pensjonarki, ostatniej przeczytanej książki? Jakże sobie poradzicie z samem życiem, tak rozmaitem, bujnem i zawiłem, skoro wasz umysł mroczy książka beletrystyczna, że nie wiecie, gdzie sen, gdzie jawa? Nie romantyczne tradycje wam ciążą: jesteście epigonami tych, którzy mordowali w duszach rzeczywistość polską. Ciąży na was grzech straszny (przeciwko Duchowi Świętemu) zabijania poczucia rzeczywistości n a j b l i ż s z e j, którą doradzono wymijać, jej wstydzić się, maskować ją, niszczyć ją w marzeniach o postępie wszechludzkim, marzeniach obłudnych, bo będących wykrętem od odpowiedzialności za rzeczy blizkie; za takie to praktyki duch pokarany jest ślepotą i niemotą. Duch, wyjałowiony krążeniem w pustce, chory jest na niemoc: patrzy i nie widzi; słowo jest jak bełkot niezrozumiały; nietylko „rytm pijany“ — treść niepoczytalna. Nie macie nic do powiedzenia, a słowo z pustki wionące jest obrazą uszu.

Kto nawykł coś udawać, aby się wymigać od rzeczywistości, ten musiał się wyobcować ze „współczesności“ i rzeczywistości. Zanim tragiczny swym romantyzmem literat wybierze z dwu żłobów jeden: czy ma być bolszewikiem, czy nacjonalistą polskim, niech naprzód obliczy się, czy jest człowiekiem, czy ma w porządku popędy twórcze. Do życia i do idei trzeba się zbliżać na serjo, nie wolno o nich snuć pojęć lekkomyślnie w stanie literackiego podniecenia, doznanego w przeczytanej powieści.

Poczytalność umysłowa, możność myślenia to są dary, płynące z dobrego ustosunkowania się duszy do środowiska — jest to zagadnienie naprzód etyczne, potem filozoficzne. Bez tego wnętrznego połączenia z życiem (literackie jest zewnętrzne) jednostka zawsze będzie się czuła „tragicznie“ między jakiemiś prądami, jak wiórek miotany między Scyllą i Charybdą. Trudno w tym stanie niepoczytalności eksponować się w roli myśliciela. Gdybyśmy np. autora, piszącego w „Gazecie“ o tym tragizmie wióra między dwoma okrętami, zapytali, dlaczego wyobraża sobie, że „polski nacjonalizm jest importowany“, byłby w niemałym kłopocie. Tak mu pewno podpowiedzieli patronowie krakowscy w beretach, którzy wszystko darują słuchaczom swoim, prócz nacjonalizmu.

Panowie Dyboski i Sinko za to jedno zdanie ofiarowali pewno pismu swoje współpracownictwo. O ile rzeczywistość wymaga od ludzi myślenia, o tyle organizowanie „wolności powszechnej“ do walki z rzeczywistością, wymagania tego nie stawia. Pp. Sinko i Dyboski baczą tylko na to, aby porywana w dwa prądy literatura krakowska nie poddała się prądowi nacjonalnemu, ale przymkną pobłażliwie oczy na zboczenie ku bolszewizmowi. Chyba widzą, że „Gazeta Literacka“ w ten prąd już wpadła.

Życie umysłowe Krakowa nie może wydobyć się z marazmu, w którym je pogrążył syndykat ideowy „Czasu“, „Nowej Reformy“ i „Naprzodu“. W tej kwadraturze koła, usymbolizowanej kwadratem Rynku, wpisanego w koło Plantów, tajemnicą martwego punktu jest moment moralny. Pustka duchowa, wynikająca z zaprzeczenia i poprzekreślania wszystkich idej, szuka zasycenia w chwili bieżącej, czeka na coś nadzwyczajnego. Ostatecznie Kraków karmi się nie w Akademji, lecz w niemoralnem brukowem pisemku, produkującem sensację. Owa idea „współczesności“ jest filozofją tego głodu ducha, zatrutego teorjami względności i „brudnych dróg“, oduczonego zdrowej prawdy narodowej. Nad tą umysłowością stoi upiór krakowski, „Czas“ z kosą i szyderczo patrzy na męki tych, którzy oddaliby wszystko, co innym drogie, za odrobinę „współczesności“, za odzyskanie jakiej takiej styczności z życiem.

(X)

PRZEGLĄD POLITYCZNY

Przystąpienie Niemiec do Ligi Narodów. — Ich zamiary wobec Polski. — Polemika między Mussolinim a Stresemannem. — O polską mniejszość w Niemczech. — Zażegnanie przesilenie.

DNIA 10 b. m. p. Aschmann, niemiecki konsul generalny w Genewie, złożył na ręce sekretarza generalnego Ligi Narodów p. Drummonda notę, w której rząd niemiecki wyraża gotowość natychmiastowego przystąpienia Rzeszy Niemieckiej do Ligi. W międzynarodowych kołach pacyfistycznych wiadomość ta powitana została oczywiście, jako nowe zwycięstwo „ducha pokoju“ nad militaryzmem, zapowiedź ostatecznego ustalenia się nowych, pokojowych metod współżycia państw i narodów. Tak się więc składa, że „historyczna chwila“ przyjęcia Niemiec do Ligi Narodów przypadnie właśnie na czas... prezydentury marszałka Hindenburga. Nie przypuszczali tego zapewne twórcy Traktatu Wersalskiego, gdy w myśl teorji, że wojna jest zbrodnią, powoływali do życia Ligę Narodów, mającą zabezpieczyć świat przed zakusami „kasty militarnej“, a jednocześnie pracowicie układali listę „zbrodniarzy wojennych“, umieszczając na niej, pod numerem 237, także marszałka Hindenburga... Wielkie zmiany zaszły w Europie w przeciągu sześciu lat, które minęły od chwili podpisania pokoju w Wersalu. Czy jednakże upadek „niemieckiej kasty militarnej“ i jej ideologji jest ich znamieniem?

Zdaje się, iż jest przeciwnie i że stosunki w Lidze po przystąpieniu do niej Niemiec nie będą miały bynajmniej charakteru idyllicznego. Bardzo znamienną zapowiedzią są pod tym względem protesty i pogróżki prasy niemieckiej z powodu projektu przyznania Polsce stałego miejsca w Radzie Ligi. Zarówno dzienniki rządowe, jak opozycyjne, oświadczają zgodnie, że udzielenie Polsce stałego przedstawicielstwa w Radzie tak dalece sprzeczne byłoby z planami i nadziejami Niemiec, że w tym wypadku należałoby się liczyć z możliwością całkowitej zmiany dotychczasowej polityki niemieckiej wobec Ligi. Trudno o wyraźniejsze przyznanie, w jakich zamiarach przystępują Niemcy do Ligi Narodów, w jaki sposób pragną ułożyć na jej terenie swą „pokojową współpracę“ z Polską. Z poza mglistych frazesów o „pokojowych dążeniach“ przebija się treść, coraz mniej budząca wątpliwości, coraz jaśniejsza. Trzeba rozumieć ją, trzeba umieć zdobyć się na odpowiedź równie jasną, równie bezwzględną.

Że tylko słowa twarde, bezwzględne znajdują w Niemczech posłuch i zrozumienie, świadczy bardzo umiarkowana w treści i formie odpowiedź ministra dr. Stresemanna na przemówienie Mussoliniego w sprawie mniejszości niemieckiej w prowincji Górnej Adygi. Umiarkowanie ministra spraw zagranicznych Rzeszy jest tem znamienniejsze, iż zauważamy je również w głosach wielu organów prasy niemieckiej, oświadczających, jak np. centrowa „*Germania*“, że „mimo wszystko, naród niemiecki żywi wobec narodu włoskiego uczucia najżywszej sympatji“. Tembardziej jest też godna uwagi odpowiedź Mussoliniego, wygłoszona dn. 10 b. m. w Senacie, odpowiedź ostra, stanowcza, raz jeszcze stwierdzająca, iż nie myśli on ani na krok cofać się z zajętego poprzednio stanowiska. Polemizując ze Stresemannem powiedział Mussolini między innemi następujące, bliżej nas obchodzące słowa: „P. Stresemann przyrzekł, iż Niemcy zmienią swój stosunek do mniejszości narodowych, znajdujących się w granicach ich państwa. Przyjmuję to do wiadomości na przyszłość, ale dziś prawda przedstawia się w ten sposób, że Niemcy nie tolerują polskich szkół na ziemiach, zamieszkanych przez mniejszość polską...“ Trochę smutno, że to nie p o l s k i minister spraw zagranicznych podniósł tę sprawę i że wogóle Polska oficjalna i nieoficjalna ciągle jeszcze tak niewiele o sprawie tej myśli i pamięta. Kiedyż zrozumiemy, że stała i czynna pamięć o braciach z za kordonu jest każdego Polaka obowiązkiem pierwszym, elementarnym?..

Grożące, w naszej polityce wewnętrznej, przesilenie gabinetowe zostało szczęśliwie zażegnane. Ministrem robót publicznych mianowany został (na miejsce pos. Moraczewskiego) poseł Norbert Barlicki, prezes klubu parlamentarnego P. P. S. Minister spraw wojskowych gen. Żeligowski pozostaje na dotychczasowem stanowisku. Próby wywołania zamętu na tle ambicyj osobistych w dalszym ciągu kończą się niepowodzeniem...

IGN.

NAUKA I LITERATURA

LISTY ZE WSI

WYDANE przez Gebethnera i Wolffa „Listy ze wsi“ Wł O r k a n a należą do najciekawszych i najbardziej pożądanych książek, mianowicie do tych, które wyważają umysł czytelnika ze starych nałogowych pojęć, dają nowy punkt widzenia i zmieniają mu oświetlenie przedmiotu. Jest to kinemowy film obrazów, wiernie zdjętych z życia ludu, który dotąd jeszcze jest „zdala przez mgłę widny,“ i o którym „wiedzę istotną zastąpiło wrażenie“. Dowiadujemy się o tym przesłoniętym złudzeniami olbrzymie, że on, podobny do klas wierzchnich uczuciami, różni się od nich w pojęciach. Wbrew temu, co

się zwykle mówi, zwłaszcza w agitacjach i przechwałkach stronnictw chłopskich, „przeważna część ludu nic prawie o państwie i jego strukturze nie wie... — Niech sobie tam bedzie, jakie bedzie, niech się nazywa tak, czy owak, byle zbytnio nie dociskało“... Jakikolwiek gabinet przychodzi do steru, chłop twierdzi, że „panowie rządzą“. Lud „jeszcze w Polskę nie wszedł“. Nie rozumie ministrów bez króla, który w jego umyśle symbolizuje władzę istotną państwa. Według autora dziś plebiscyt wypadłby monarchicznie.

Podczas zajęcia Królestwa polskiego przez austrjaków, gdy oni nałożyli podatek na gminy w Piotrkowskiem, włościanie z jednej wsi napisali „zażalenie do Najjaśniejszego cara Mikołaja“ i wnieśli je przez gubernium w Piotrkowie. „Partje polityczne na wsi właściwej organizacji nie mają i lawirują na fluktach od wyborów do wyborów, częste zbierając niespodzianki“. Gdy pewnemu chłopu wyłożono zasady socjalizmu, odrzekł: „Ono by ta było, było, ino ze niwto na to nie przystanie“. Zdaniem autora „demokratyzm wsi naszej długo jeszcze będzie ckliwą nutą na fujarce“. Warto, żeby tę książkę przeczytali idylliści kmiotkowi, demokraci ze stałą matrycą pojęć szablonowych w głowie, a nadewszystko fabrykanci sojuszów „robotniczo-chłopskich“, którzy wywieszają sztandary zszyte z socjalistycznej serwety i chłopskiej płachty. „Listów“ Orkana wyszedł tom pierwszy, należy pragnąć dalszych. Lud wiejski zaciążył już swą wielką masą na naszem życiu państwowem, ale ciągle pozostaje masą bierną, wywierającą wpływ tylko przez swych wodzirejów, między którymi obok ideowców kręcą się rycerze chamstwa i ordynarni oszuści. Wszyscy, którzy chcą w tej skalistej górze wykuwać wielkie gmachy lub z jej odłamów rzeźbić posągi, powinni ją dokładnie zbadać nie przez otaczające chmury i mgły baśni, lecz w pełnem świetle prawdy.

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

Prof. Kazimierz Tymieniecki ogłosił krótką ale cenną pracę p. t. „Z dziejów zaniku drobnej własności na Śląsku w wieku XIII“. Praca ta, oparta na znanym dokumencie z XIII stulecia, księdze klasztoru Cystersów w Henrykowie, analizuje rozmaite typy drobnej własności przed okresem zamknięcia się stanów.

*

Prof. Bronisław Dembiński ogłosił w czterechsetną rocznicę hołdu pruskiego krótką rozprawę p. t. „Ostatni wielki mistrz zakonu niemieckiego i pierwszy książę pruski“. (Kraków, nakładem Akademji Umiejętności, 1925, str. 32). Barwnie, jak zawsze, charakteryzuje w niej postać przebiegłego Albrechta Hohenzollerna, jego wrogi stale stosunek do Polski, oraz zawiłą akcję dyplomatyczną, jaką na jej szkodę niezmużenie organizował i prowadził.

*

P. Stanisław Kolbuszewski wydał niedawno fragment swej pracy o Wyspiańskim i romantyzmie p. t. „Wizja Wyspiańskiego“. „Wizją“ nazywa autor fragmentaryczny rapsod p. t. „Św. Stanisław“. P. Kolbuszewski wydobył ten fragment nieuporządkowany z pośmiertnych papierów poety i zrekonstruował go w formie, jaką pragnął mu nadać Wyspiański. Jak każdy przyczynek, pozwalający na głębsze i bliższe zapoznanie się z genjalną indywidualnością Wyspiańskiego, praca p. Kolbuszewskiego jest dziełem pożytecznem i na szczere zasługującem uznanie.

*

Nakładem Towarzystwa Miłośników Historji w Poznaniu wydane zostało dzieło zbiorowe p. t. „Wielkopolska w przeszłości“, obejmujące okres od czasów przedhistorycznych aż do chwili obecnej. Znajdujemy w niem prace starszych i młodszych uczonych, a mianowicie: Br. Dembińskiego, Tadeusza Grabowskiego, Adama Skałkowskiego, Władysława Konopczyńskiego, Kaz. Tymienieckiego, Zaleskiego, Karczmarczyka, Tyca, Wojtkowskiego i Kostrzewskiego. Całość niezmiernie interesująca, rzuca wiele nowego światła na ogromną rolę, jaką zawsze w naszem życiu historycznem odgrywała dzielnica wielkopolska.

U SŁOWIAN

Ku uczczeniu tysiąclecia królestwa chorwackiego wydaje obecnie Jugosłowiańska Akademja Nauk księgę pamiątkową p. t. „*Zbornik kralja Tomislava*“. Na czele książki znajduje się francuska przedmowa prezesa Akademji prof. d-ra G. Manojlovića, po niej zaś idą cenne szkice i rozprawy z dziejów Chorwacji: F. Racki: Kiedy i jak przemieniło się księstwo chorwackie w królestwo — I. Kukuljević: Tomisław I, król chorwacki—bisk. Srebrenić: Związki papieża Jana X z Bizancjum i Słowianami bałkańskimi — Lj. Hauptmann: Przybycie Chorwatów i Czas narodowej dynastji w historji Chorwatów — Vj. Klaić: Dwu uczonych słowiańskich o historji chorw. i Uwagi nad dziejami chorwackiemi za narodowej dynastji — N. Radojcic: Historja chorw. czasu narodowej dynastji w historjografji serbskiej—T. Maretić: O głagolicy... i wiele innych jeszcze prac, pisanych głównie przez profesorów uniwersytetów jugosłowiańskich. Dzieło ma 36 tablic ilustracyjnych.

*

Drugi numer trzynastego tomu serbsko-chorwackiego pisma politycznego (wychodzi trzykrotnie w miesiącu) „*Nova Evropa*“ zawiera następujące artykuły: I. Kolbe: Mniejszości w Jugosławji — Min. E. Benes: Problem małych narodów i ich położenie w nowej Europie — H. Vernet - Lowett: W. Brytanja w Indjach — I. Belin: Oszczędności w wydatkach państwowych—Książki i czasopisma. Pismo to nazwać należy „serbsko-chorwackiem“, gdyż w każdym numerze część artykułów jest drukowana pismem łacińskiem (po chorwacku), część zaś cyrylicą (po serbsku).

Znakomicie redagowany praski tygodnik „*The Central Europan Observer (a weekly review of politics, finance and commerce)*“ bardzo często poświęca swoje szpalty sprawom polskim. Tak np. nr. 5 bież. (IV) rocznika przynosi artykuły: Polska a jej sąsiedzi, Polska a Liga Narodów, w dziale ekonomicznym szereg wiadomości finansowych z Polski (omówienie aktywności naszego bilansu z grudnia 1925 r.); nr. 6-y zawiera m. in.: „Polska a Rosja sow.“ (rozpatrzenie stosunków ekonom. obu krajów). Pozatem zawiera ten numer nast. artykuły: Przegląd polityczny — Nadchodzące wybory w Rumunji — Postęp reformy rolnej na Węgrzech — Sporty zimowe w Czechosłowacji — Austrjackie problemy ekonomiczne — Polska w dokumentach wojny światowej (ocena książki M. Sokolnickiego)—Recenzja angielskiego przekładu dramatu I. Mazuranića „Śmierć Smaik-agi Cengica“, w dziale ekonomicznym omówienie obecnego położenia w polskim przemyśle.

*

Praskie „*Národni listy*“ przyniosły w ostatnim czasie szereg specjalnie zajmujących artykułów. Wymienić tu należy w n-rze 29 pracę prof. M. Hyska, znanego polonofila, p. t. Nowe przekłady z literatur słowiańskich (cz. II). Artykuł ten zajmuje się literaturą polską i jugosłowiańską. Podkreśla w nim autor, że „Kraszewski był... popularny w Czechach tak samo jak w Polsce, a później tę samą popularność zdobył sobie tylko Sienkiewicz, którego czescy czytelnicy znali mało co mniej, niż polscy“, a następnie, że „Przybyszewski tak silnie oddziałał na czeską dekadencję“. Nr. 31 przynosi na naczelnem miejscu artykuł b. prez. ministrów K. Kramarza p. t. „Przyszłość Słowiańszczyzny a uznanie Sowietów“. Znany przyjaciel przedwojennej Rosji wypowiada się przeciw uznaniu Sowietów przez Czechosłowację, stojąc na stanowisku, że ustrój bolszewicki jest przeciwny naturze słowiańskiej i moralne choćby popieranie go, a nawet obojętność zamiast zwalczania, jest działaniem na szkodę Słowiańszczyzny.

*

„*Sokolske Listy*“, organ rozkwitającego związku sokolskiego Serbów łużyckich, wydały 1 numer drugiego rocznika. Treść numeru jest następująca: Z nowym rokiem—Sokół serbski (t. j. łużycki, przyp. nasz.) 1920—1925 (Dr. H. Sleca) — Nauka gimnastyki (V. Vorel)—Ze świata sokolego: VIII wszechpolski zlot 1926. — Ze związku. Nader interesujący jest artykuł D-ra Slecy o początkach ruchu sokolego wśród Serbów łużyckich, zaznaczający siłę poczucia słowiańskiego w Łużycy (Sokół założono tam w r. 1920).

*

Londyńska szkoła studjów słowiańskich *(The School of Slavonic Studies in the University of London)* rozwija się bardzo pomyślnie. Działalność wydawnicza szkoły jest godna uznania. Grudniowy numer (IV) organu Szkoły: „*The Slavonic Review*“, zawiera szereg nader interesujących artykułów: E. Benesz: Problem małych narodów po wojnie światowej—Lermontow: Demon—D. Vilov: Ptak—J. Kochanowski: Treny (cztery przekłady dokonane przez D. P. Radin)—A. Chomiakow: Robotnik—M. Bera: Małżeństwo w folklorze rumuńskim — O. Jászi: Jak powstaje nowe Lourdes? — N. Berdjaev: Koniec odrodzenia. — V. N. Zlatarski: Tworzenie się narodu bułgar-

skiego — S. Jovánovic: Serbja w 70-ych latach XIX w. — M. Florinskij: Dwuchsetlecie Akademji rosyjskiej — D. S. Mirskij: Spisek dekabrystów... Nekrologi Kaz. Morawskiego, V. Vondraka, M. Chomiakowa i J. M. Blair'a — Kronika — Economica — Bibljografja. — Jako wydawnictwo Szkoły wyszedł też przekład części „Dziadów“ (A. Mickiewicz: ***Forefathers'Eve, Prologue and scenes I— V)***, tłumaczenia dokonała Dovota Prale Radin.

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

P. Raymond Poincarè przygotowuje obecnie do druku swe wspomienienia pod znamiennym istotnie dla działalności tego wielkiego męża stanu tytułem: *Au Service de la France* (Plon Nourrit). Dwa pierwsze tomy tego dzieła: *Au Lendemain d'Agadir* (1912) i *Les Balkans en feu* (1912), obejmą okres, który rozciąga się od traktatu francusko-niemieckiego z 1911-go r. aż do podróży p. Poincare'go do Rosji w 1912 r. Ostatnie dwa numery *„Revue Hebdomadaire“* zawierają niezmiernie ciekawe rozdziały, mające wejść do tej książki, a dotyczące przymierza francusko-rosyjskiego. P. Poincaré podaje genezę tego przymierza, jednocześnie zaś kreśli w sposób nader zajmujący rozwój stosunków politycznych francusko-rosyjskich, wyjaśniając przedewszystkiem rolę, odegraną przez ówczesnego ambasadora rosyjskiego w Paryżu, p. Izwolskiego, lubiącego komentować na swój sposób nietylko instrukcje, przesyłane z Petersburga, ale i rozmowy swe na Quai d'Orsay. Jak stwierdza Poincaré, polityka Izwolskiego w okresie Agadiru miała na celu utrzymanie neutralności Rosji wobec ówczesnego zatargu francusko-niemieckiego. Na specjalną uwagę zasługują również stronice, odnoszące się do osoby cara Mikołaja i wpływu, jaki na nim wywierał Wilhelm. P. Poincaré wykazuje, że Francja była zawsze usposobionn pokojowo, starając się wpływać łagodząco na Rosję w czasie kryzysów bałkańskich.

*

W chwili, kiedy pod wpływem propagady bolszewickiej budzi się Azja, występując do walki z rasą białą, zagadnienie „żółtego niebezpieczeństwa“ jest bardziej, niż kiedykolwiek, aktualne. P. Maurice Muret, który w ostatnich latach zwiedził Afrykę północną, Syrję, a w ostatnich czasach Amerykę, poświęca temu zagadnieniu najnowszą swą książkę p. t. *„Le Crépuscule des Nations Blanches“* (Payot Edit.). Autor, posiadający wielką znajomość świata oraz dokładne informacje o położeniu w Indjach i na Dalekim Wschodzie, kreśli rodzaj bilansu sytuacji ludów Zachodu, i wogóle rasy białej. Bilans ten przedstawia się, oczywiście, dosyć smutno, albowiem *prestige* rasy białej zmniejsza się w sposób zastraszający. Dotychczas Azja, chociaż nienawidziła Europy, to jednak zdawała sobie sprawę, że bez niej obejść się nie może. Obecnie natomiast, pod wpływem idej, głoszonych przez emisarjuszy bolszewizmu, Azja przychodzi do przekonania, że niedługo wybije dla niej godzina czynu. Przebudzenie się Wschodu wstrząśnie podstawami Europy. „Konflikty ras, pisze p. Muret, będą obecnie nabierały charakteru tem gwałtowniejszego, że wmieszane w nie będą nieprzejednane walki klasowe“.

*

W *Collection d'Editions originales Illustrées* (Au Sans Pareil) ukaże się szereg utworów bogato ilusrowanych. Dla tego to wydawnictwa napisał J. Kessel, autor *Equipage* nowy utwór *„Le thé du capitaine“* mający być ozdobiony sześciu akwafortami Natalji Gonczarowej. W książce tej maluje autor życie emigracji rosyjskiej w Paryżu.

W tem samem wydawnictwie ukaże się książka Jana Cocteau, *„Le Secret professionnel avec les monologues de l'oiseleur“*, ozdobiona 12-u rysunkami przez niego samego wykonanemi. Książka ta zawierać będzie właściwie spowiedź autora, jego definicje koncepcyj artystycznych, literackich i... wyznanie wiary. Jan Cocteau bowiem, którego twórczość ogromnej uległa zmianie po śmierci jego przyjaciela Rajmunda Radiguet, ma podobno nawet nawrócić się na katolicyzm.

*

Ostatnia powieść Henri Bordeaux *„Les Jeux dangereux“* (Plon Nourrit) rozgrywa się w kosmopolitycznem środowisku modnej miejscowości klimatycznej, w sezonie sportów zimowych. Na tem tle rozwija się „niebezpieczna gra“ miłości między piękną Francuzką i profesorem Anglikiem, uczniem i wielbicielem Ruskina.

*

Marius-Ary Leblond piszą czterotomową powieść współczesną p. t. *Les martyres de la République*, mającą za tło spory religijne we Francji. Akcja rozgrywać się będzie w Bretanji, w departamencie Finistère w okolicy pięknego starożytnego miasta Quimper. Książka niezawodnie obudzi zainteresowanie, zwłaszcza, że występować w niej będą (jako postaci epizodyczne) wybitni współcześni politycy francuscy: Clémenceau, Briand i inni.

SZTUKI PLASTYCZNE

W „ZACHĘCIE“

AFORYZM Słowackiego, że poezja narodowa nie polega na opisywaniu narodowych wypadków, słuszny jest całkowicie i przydatny także przy badaniu narodowego lub nie-narodowego charakteru dzieł sztuki plastycznej. Prawda to zresztą znana, ale godzi się ją przypomnieć z okazji urządzonej obecnie w „Zachęcie“ wystawy dzieł Jana, Tadeusza i Adama Styków, rzadko się bowiem zdarza widzieć prace tak dalece pozbawione odrębności cech narodowych, tak na sposób międzynarodowy chłodne, oficjalne, konwencjonalne. A przecież zmarły przed rokiem Jan Styka, aczkolwiek osiedlił się na obczyźnie, szczerze i gorąco pragnął być polskim malarzem narodowym, do prac swoich, wielkich płócien alegorycznych i historycznych, stale szukał tematu w dziejach Polski, symbolicznych zaś rekwizytów patrjotyzmu, kos, szabel, sztandarów i t. p., używał tak obficie, jak nikt może przed nim ani po nim. Celu nie osiągnął, mimo całą szlachetność intencji. Nie wystarczy bowiem namalowanie młodej kobiety (w białej szacie, z rozpuszczonemi włosami i wzrokiem, wzniesionym ku górze), nie wystarczy nawet umieszczenie u jej stóp orła białego (mającego poinformować i upewnić, że wspomniana kobieta jest właśnie „Polską“), ażeby w duszy widza obudzić święty dreszcz patrjotycznego wzruszenia. O ileż więcej Polski ma w sobie każdy najmniejszy obrazek Stanisławskiego, każde namalowane przezeń źdźbło trawy, każdy obłok przelotny, nad polskiemi unoszący się równinami!

Starszy syn Jana, p. Tadeusz Styka nie chce już przysparzać sobie kłopotów tematami patrjotycznemi. Swój cel i swe ambicje artystyczne określił wyraźnie. Jest dostawcą portretów warstwy zamożnej, a pozbawionej smaku, umiejętnie akcentującym zmysłowy urok malowanych przez siebie młodych przedstawicielek „sfer towarzyskich“. Dzieło jego jest brzydkie tą specjalną brzydotą, jaka cechuje pompatyczną architekturę kasyna w Monte Carlo, czy w Ostendzie, poczekalnie elegenckich hotelów i wnętrza „wykwintnych“ restauracyj.

P. Adam Styka, młodszy o rok brat Tadeusza, jest natomiast wcale typowym przedstawicielem popularnych we Francji malarzy Afryki i Wschodu. Dzieła jego, dość konwencjonalne, nie są jednak pozbawione pewnych zalet, szczególnie w dziedzinie światłocienia.

Oryginalną indywidualność artystyczną daje poznać wystawa pośmiertna prac przedwcześnie zmarłego ś. p. Ignanego Marka. Akwarele p. Römerowej świadczą o skłonności artystki do ulegania wpływom, dość zresztą rozmaitym; zwłaszcza ilustracje do bajek są chwilami wyraźnem naśladownictwem Rackhama.

Na wystawę bieżącą nie nadesłano dzieł, godniejszych uwagi.

K. L.

„WYBRANE WIERSZYKI“ SICHULSKIEGO

Piękny zbiór autolitografij opublikował Kazimierz Sichulski w formie książki p. t. „Moim dzieciom wybrane wierszyki, Lwów 1925“. Każda strona tej książki, zawierającej wybór znanych bajek Krasickiego, Jachowicza i in., jest dziełem artysty, na każdej twórcza jego indywidualność wyraża się czyto w ornamentach, czy, przedewszystkiem, w znakomitych rysunkach i szkicach zwierząt, roślin i ludzi. Nigdy bodaj dotychczas talent Sichulskiego nie przejawił się w takiem bogactwie motywów.

„Wybrane wierszyki“ są dziełem artysty dojrzałego, u którego dawna skłonność do groteski przeobraziła się w spojrzenie na świat bardziej filozoficzne, głębsze i serdeczniejsze. Znać na Sichulskim wpływy drzeworytników japońskich i niektórych dzieł graficznych Albrechta Dürera, ale ponad wszystkiem zarysowuje się wyraźna

linja historycznego rozwoju sztuki polskiej, ścisły związek z tradycją Wyspiańskiego i Wojtkiewicza. Obok słynnych ilustracyj St. Dębickiego do „Bajki o Kasi i królewiczu“ i „Bajek“ Kasprowicza—„Wybrane wierszyki“ Sichulskiego są niewątpliwie w sztuce polskiej najlepszem dziełem, stworzonem przez artystę dla dzieci, z ojcowską czułością i zrozumieniem dziecięcej psychiki.

K. L.

NOWE KSIĄŻKI

Jan Kasprowicz. Mój świat. Pieśni na gęśliczkach i malowanki na szkle. Warszawa 1926. Instytut wyd. Bibljoteka Polska.

J. W. Goethe. Faust. Część pierwsza. Przełożył W. Kościelski. Warszawa 1926. Tamże.

T. Rittner. Most. Powieść. Warszawa 1926. Tamże.

Ks. Stanisław Adamski. Reorganizacja bankowości w Polsce. Poznań 1926. Str. 32.

Jan Mosdorf. Akademik i polityka. Warsz. 1926. Nakładem autora, str. 15.

Mieczysław Barwicki. Wskazania moralno-etyczne ku uporządnieniu człowieka. (Warsz. 1926). Cena 50 gr., str. 32.

W Bibliotece Domu Polskiego wyszły: St. Cieszkowski. Stanisław Staszic. Zarys biogr.—M. Domańska. Blaski. Powieść.

Jotes (Jerzy Szwajcer). Z notatnika karykaturzysty (z ilustr.). Warsz. 1926. Instytut Wydawn.

Jan Szyc. Zasady księgowości. I księgowość w handlu. Warszawa 1926. Tow. wyd. „Rój“. Bibl. handl.-ekonomiczna, nr. 1.

J. St. Cezak. Geografja gospodarcza. Ogólne warunki życia gospodarczego. Tamże. Bibl., nr. 2.

Maurycy Mann. Echa włoskie w poezji Adama Asnyka. Warsz. 1926, str. 86.

Jan Sas Zubrzycki prof. Arcydzieła Wita Stwosza. Lwów 1924, str. 176.

J. Kessel. Załoga. Powieść lotnicza. Bibl. dzieł wyb.

E. Ligocki. Laguna morta. Tom I. Bibl. dzieł wyborowych.

Przegląd Wszechpolski, styczeń 1926.

Przegląd Polityczny, styczeń 1926.

Przegląd Powszechny, luty 1926.

NA MARGINESIE

„Słowo Polskie“ w artykule wstępnym zastanawia się nad chorobą, która trapi Polskę, a którą nazwać można „mikromanją“ w przeciwstawieniu do megalomanji pruskiej. Brak wiary w swoje siły, w swoją wartość, swoje znaczenie polityczne posuwamy tak daleko, że nie mamy odwagi w polityce międzynarodowej bronić swoich interesów. Tam, gdzie trzeba szczególnej mocy orędownictwa, do Ligi Narodów, posyłamy w imieniu Polski Żydów: dawniej Askezanego, teraz Sokala.

To wszystko prawda, nie można jednak przypisywać tej choroby narodowi. Naród polski znalazł się w rękach międzynarodówki, ona w Polsce rządzi. Od niej zaś nie można wymagać dumy narodowej i wogóle ochoty walczenia o interesy narodowe. Politycy nasi, którzy radziby podobać się zagranicą ze swojej uprzejmości i wpływów, jakie mają w Polsce, wrogami są tych sfer narodowych, które wprowadzają do stosunków dysonans swoją nieustępliwością i kosztem Polski, która nie mając w Sejmie i w rządzie większości narodowej, musiała stać się łupem półpolaków i Żydów, międzynarodówka załatwia własne interesy. Ona to wystawia Polsce świadectwo małoduszności. Przyjdzie jednak chwila, że naród naprawi tę opinję.

*

Pojedyńczo lub gromadkami zjeżdżają obecnie do Warszawy niemieccy propagatorzy pacyfizmu. Jeden z nich, p. Helmut von Gerlach, mówił ostatnio na posiedzeniu Polskiego Towarzystwa Przyjaciół Ligi Narodów (cytujemy według „Naszego Przeglądu“):

> „O rewizji granic w drodze pokojowej... myślą (w Niemczech) wszyscy... Sprawa granic jest zresztą kwestją drugorzędną...“.

Nieźle byłoby, gdyby polscy pacyfiści wybrali się dla odmiany do Berlina i oświadczyli tam publicznie, że wszyscy w Polsce myślą o przyłączeniu „drogą pokojową“ Śląska Opolskiego i Prus Wschodnich, że jednakże z niemieckiego punktu widzenia kwestja ta powinna być uważana za drugorzędną... Warto sprawdzić, czy słowa te spotkałyby się z tak gorącym przyjęciem, jakie p. von Gerlachowi zgotowano w Warszawskiem Towarzystwie Przyjaciół Ligi, gdzie—jak zaznacza sprawozdawca „Naszego Przeglądu“—„zebrani gorąco oklaskiwali“ wywody berlińskiego pacyfisty.

*

W swojem najnowszem orędziu p. Piłsudski napisał („Kurjer Poranny“): „Zdołałem w 1918 r. zapewnić spokój dla wyratowania państwa, mimo powszechnego zatracenia się w powodzi zjawisk, wobec których zdziczałe w tchórzostwie... społeczeństwo wyglądało tak, jak gdyby drżało przed samem istnieniem Polski. Zdołałem otoczyć sztandary nasze tak wielkiemi zwycięstwami, jakich nawet pradziadowie nie znali. Dokonałem tego wówczas, gdy to samo tchórzostwo czyniło orła białego żółtym“. No, rekordy przechwałek Falstaffa i Zagłoby zostały przez „pierwszego marszałka“ stanowczo pobite. Ale jego rekord już z pewnością nigdy i przez nikogo pobity nie będzie.

*

Poseł Bryl, opowiadając redaktorowi tygodniczka „Za Wolność“, o wrażeniach swych z Rosji Sowieckiej, taką między innemi zrobił uwagę: — „Kult Lenina jest ogromny. Leninizm to nowa religja Rosji... Zrobiłem spostrzeżenie, że w trzech miejscach publicznych ludność tworzy w Moskwie „ogonki“: przy sklepach z cukrem, przy składach wódki i przy mauzoleum Lenina“.

A może p. Bryl się pomylił? Może przed mauzoleum Lenina ludność tłoczy się z ciekawości, ale istotną świątynią „nowej religji“ są właśnie „składy wódki“, której kult byłby najdoskonalszym, ostatecznym wykwitem idei „materjalistycznego pojmowania dziejów“ i „materjalistycznego na świat poglądu“...

*

Wychodząca w Krakowie „Gazeta Literacka“ zamieszcza artykulik wcale pokaźny, piętnujący zachowanie się krakowskiej publiczności w Teatrze Bagatela podczas występów pani Zuli Pogorzelskiej (z „Perskiego Oka“). Czytam tam święte słowa oburzenia z tego powodu, że niekulturalni widzowie, zamiast wysłuchać programu w należytem skupieniu do samego końca, ośmielili się podczas ostatniego refrenu piosenki „Pod sukienką“ wymykać się z sali po palta do garderoby. Święte oburzenie „Gazety Literackiej“ wydaje się nam nieco przesadne. Puszczania mimo uszu piły „Pod sukienką“ niepodobna uważać za profanację sztuki. W każdym razie zaś trudno bardzo zrozumieć, co fakt ten ma wspólnego z literaturą.

*

Zarząd fabryki „Pocisk“ odważył się na hazard sprostowania twierdzeń dziennikarskich o ujawnionych tajemnicach jej gospodarki, ale jednego punktu nie dotknął — pensyj dyrektorów i ich pomocników. Ograniczył się tylko do zapewnienia, że pensje te (wynoszące przeszło 340.000 zł. rocznie) nie wpłynęły na cenę wyrobów. W tej sprawie otrzymujemy sprostowanie, ale od jednego z pracowników: „Rachunek pensyj jest niedokładny, bo nie wliczono do niego mieszkań, opału, światła i innych świadczeń. A to nie mała cyfra! Jeden z dyrektorów, Leski—Natanson, zajmuje 13 pokojów ogrzanych i oświetlonych! Można więc ogromną sumę bez przesady podnieść do pół miljona złotych rocznie. Czy ona również nie wpływa na zaległości w wypłacie należności robotnikom i urzędnikom? Czy nie wpływa na przerwanie prądu elektrycznego za niepokryty rachunek i unieruchomienie fabryki? Ale może wpływa na to, że trzynastopokojowy dyrektor jeździ własnym samochodem do Paryża“? W każdym razie, przyjemnie dowiedzieć się, że śród powszechnego ubóstwa i niedoli są ludzie zadowoleni z pensji, mieszkania i świadczeń kosztem poczciwych akcjonarjuszów i zasiłków rządowych.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Panu R. G. w D. Z nadesłanego wiersza skorzystać nie możemy. Nie brak w nim wprawdzie przejawów bujnej fantazji, grzeszy on jednak zbyt daleko idącą swobodą rymowania, zwłaszcza zaś zbyt wyraźnym nawet jak na dzisiejsze stosunki brakiem sensu.

Pisze pan w „sonecie“ p. t. „Dolores“:

> Raz na na targu w Sewilli spotkałem Hiszpankę,
> Słońce grzało jej plecy wyniosłe i smagłe,
> Pogwizdywała sobie z cicha *Doodle Yankee*
> A mnie raptowne żądze ogarnęły nagle.

Gdyby pańska Dolores o „wyniosłych plecach“ choć odrobinę umiała po angielsku, toby wiedziała, że „Yankee“ nie rymuje się wcale z Hiszpanką.

ERRATA: W noweli „Balbina“ w poprzednim numerze (str. 104 szpalta 1, wiersz 39 od góry) zamiast „salonu“ winno być „salopy“.

TREŚĆ: Kryzys ustroju politycznego *R. Rybarskiego.* — Plastyka sceny *St. Pieńkowskiego.* — Los poety narodowego *A. Nowaczyńskiego.* — Motyw przyrody w poezji angielskiej *J. Kasprowicza.* — Wina *St. Wyrzykowskiego.* — Liberum veto *Al. Świętochowskiego.* — Głosy: Brak odwagi cywilnej *J. Zamorskiego;* Kryzys moralny w literaturze *(X).* — Przegląd polityczny *Ign.* — Nauka i literatura. — Sztuki plastyczne *K. L.* — Nowe książki. — Na marginesie. — Odpowiedzi redakcji.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr 17, 2 gie piętro. Tel. 11-90.

WARUNKI PRZEDPŁATY: kwartalnie z dostawą zł. 8, rocznie zł. 30, za granicą kwart. zł. 12. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI

Druk. „A. Michalski", sp. z o. o., Warszawa. Chmielna 27. Telefon 27-15.